MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 5. WARSZAWA, 25 STYCZNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

W POSZUKIWANIU KONJUNKTURY

KONSERWATYŚCI krakowscy bardzo sobie chwalą obecną „konjunkturę". Pan Janusz Radziwiłł, uznany już przez konserwatystów krakowskich za wodza ruchu zachowawczego w Polsce, „na obiedzie przyjaciół Czasu" oświadczył przy „wetach", że obecne stanowisko obozu konserwatywnego należy uważać za „owoc pomyślnej dziś dla sfer umiarkowanych konjunktury". „Tę sytuację — dodaje — winniśmy wykorzystać i utrwalić", ile że według danych, jakie posiada, „stan obecny potrwa czas dłuższy"... Panowie konserwatyści — trzeba im to przyznać — dają dowód dobrego wygimnastykowania, skoro potrafią w tak niewygodnej pozycji trwać „czas dłuższy" i jeszcze sobie tej pozycji winszować. Potrzeba na to wiele — jakby to powiedzieć — plastyczności.

Bardzo są zadowoleni ze „zwycięskich wyborów". Prawda, że „nie przeszły bez nacisku zgóry", ale ten nacisk był naturalną reakcją na „terror z dołu ze strony politycznej demagogji". Niedawno odbyło się zebranie u premjera Sławka w sprawie reformy konstytucji. Ks. Radziwiłł może się podzielić horoskopem tam zdobytym, że

„my konserwatyści będziemy posiadali najzupełniejszą swobodę wypowiadania swych poglądów w dyskusji konstytucyjnej".

Więc nawet i swobody są, nietylko naciski, i to „najzupełniejsze". Prawda, dokucza kryzys gospodarczy, ale i tu mamy „szczęście w nieszczęściu":

„Oto skutki owego kryzysu przyczyniły się do skonsolidowania obozu rządowego, do zbliżenia, pod presją czynnika gospodarczego, ludzi, których współpraca byłaby dotąd uważaną za niemożliwą".

Szczęście istotnie wielkie, ale nie można powiedzieć, że niespodziane. Książe Radziwiłł spuszcza oczy, jak młoda mężatka, tymczasem współżycie konserwy z rewolucją zaczęło się dobrze przed wojną, a śluby zawarte w NKN-ie zostały teraz tylko odnowione; właściwie obchodzimy już srebrne wesele dobranej pary.

Małżeństwo skojarzyło się na dobre pod auspicjami sąsiadów. Jakież teraz stosunki z nimi? Ks. Radziwiłł stwierdza, że „weszły w najbardziej krytyczną fazę" — napięte są. Ale właśnie

„zachowany dotąd spokój i równowaga jest ze strony naszych władz ich wielką zasługą i najlepszą odpowiedzią na niemiecką agresywność".

Krytyka polityki zagranicznej władz, dokonywana przez obóz narodowy

„jest nietylko niesłuszna, ale złośliwie partyjna. To też umowy polsko-niemieckie zostaną zapewne przez nas ratyfikowane".

Według „niepartyjnego" wodza partji konserwatywnej „dla Polski pracuje czas". To wystarcza, a na dowód, jak Polska wzmacnia się na zachodnich ziemiach p. Radziwiłł „zacytował opinję wysoko postawionej w Niemczech osobistości". Jest to bardzo charakterystyczna różnica, zachodząca między partjami, że jedne mają własny pogląd na stan i interesy kraju, a drugie dowiadują się o tem od sąsiadów. Zapewne: „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi", ale za to można ręczyć, że ów wysoko postawiony Niemiec, nie pytał p. Radziwiłła, jak siedzą Niemcy na swoim wschodzie. Tak, ale cóżby to były za wety dla przyjaciół „Czasu", gdyby soleni-

zant dawał informacje, zaczerpnięte w obozie narodowym własnym?

Nie dało się w Krakowie pominąć sprawy brzeskiej. Mówca wykręcił się z niej szparą, jaka rzekomo istnieje między jej stroną etyczną i polityczną. Etycznie, zdaniem mówcy, sprawa domagałaby się wyświetlenia, ale zachowawcom politycznie ona nie wadzi, ile że w zarzutach „jest podobno na szczęście wiele przesady”.

„Trzeba jednak stwierdzić, że sprawa brzeska, jako atut polityczny, wykorzystywana przez demagogję, zawiodła. Nie podziałała na masy“.

O tem, że ona zainicjowana była, jak to przyznała prasa sanacyjna, w celu „podziałania na masy“ i że jej rząd przypisuje zwycięskie wybory, — mówca nie wspomniał.

Tradycje Radziwiłłów w Polsce i poza Polską i znane tendencje polityczne ich potomka wyjaśniają, dlaczego on, nie kto inny, wypłynął w tych czasach znowu na widownię, obejmując ster nad grupą konserwatystów. Pompatycznie pasował go na wodza gospodarz zebrania krakowskiego, rzecznik austrjackich tradycyj szkoły krakowskiej, prof. St. Estreicher. Zapewnił on, że wkrótce dokonana będzie reforma konstytucji: „dyktatury nikt w Polsce na trwałe nie chce”, pójdzie zaś ta reforma po linji, która „zrodziła się w Krakowie przed laty na gruncie rozważań historycznych. Ojcem tej idei był Szujski, a wypracował ją w swojem znakomitem dziele Michał Bobrzyński”...

Jednem słowem mamy znowu w Krakowie teatr amatorski rządów z urojenia: „Przy tobie — Panie — stoimy”; znowu na targ wyniesiona krakowska szkoła historyczna, dokument wyświechtany, jak legitymacja chodzika! Zawsze ta sama małomiasteczkowa parada słów i pozy, płynąca z potrzeby grania komedji przed sobą samym, a niezdolna zamaskować cynizmu.

Konserwatyści krakowscy rekwizytami szkoły krakowskiej i pozą chcą pokryć smutną rzeczywistość; nie są żadną partją, lecz są koterją, dążącą do zabezpieczenia swoich osobistych i partykularnych interesów. Jest teraz w modzie pogarda dla „partyjnictwa”. Gdyby kalecy mogli być prawodawcami mody, ludzie zdrowi wystawieni byliby na szyderstwo. Nie trzeba zapominać, że teraz nie modne też są zasady praworządności, humanitaryzmu, uczciwości. Na istnienie partji wydają wyrok koterje i mafje, których nie stać na to, by stworzyć partję. Na to, żeby partją być prawdziwą, trzeba mieć program polityczny, biorący za punkt wyjścia zasadę: *salus reipublicae*. Program taki zdobywa się pracą dla narodu, pełną zaparcia. Takiemi partjami wyrosły wszystkie potencje polityczne.

Było miejsce w Polsce na partję konserwatywną; miałaby ona zadanie ratować kraj od rozkładowych procesów, biorących początek w ideałach rewolucyjnych, w oparciu o zasadę rozwoju sił narodowych. Tak pojmował swoją rolę ruch zachowawczy na zachodzie i był wielką siłą twórczą. Dola jednak konserwatyzmu krakowskiego była żałosna; poszedł w służbę rządów austrjackich, które element rewolucyjny dla państwa widziały właśnie w polskim ruchu narodowym, w ambicjach narodu do uczynienia z siebie siły politycznej. To skłóciło krakowiaków ze szkoły „przy tobie — panie — stania“ z ruchem narodowym polskim, do tego stopnia, że potem szukali dla siebie i dla Austrji sojuszników we wszystkich żywiołach rewolucyjnych i antypolskich, które polski ruch narodowy miał do przezwyciężenia. Cały początek bieżącego stulecia zeszedł im na sojuszach z Rusinami w Małopolsce Wschodniej, z Żydami, radykalnymi ludowcami, z socjalistami, rewolucjonistami, a kierowało ich działaniem to jedno tylko hasło, jakby zahamować ruch narodowy polski, źle widziany w Austrji zwłaszcza w związku z oczekiwaną wojną. Mało im było Galicji: hasło to przenieśli do zaboru rosyjskiego, gdzie wytworzyli koterję „polityki realnej“, przerzucali je też do Wielkopolski acz z mniejszem powodzeniem. Czemże był N K N? Czem przedtem walki „bloku” z wszechpolakami na terenie galicyjskim pod wodzą M. Bobrzyńkiego?

Stańczycy tego stulecia mylili się o cały naród, który wypuszczali z rachunku jako wartość równą zeru. Był w tem swoisty patrjotyzm miłośników pamiątek, kalkulujący na protekcję, a więc uznający, że Polska może istnieć tylko swoją słabością. Chodziło tylko o to, żeby nikt się Polski nie bał, że ona czemś może być. Inaczej dezawuowałoby się doktrynę Bobrzyńskiego, który uważa, że Polska może istnieć tylko pod czyimś zarządem; inaczej nie możnaby spokojnie oddawać się pracom nad zabytkami sztuki polskiej, a przedewszystkiem straciłoby się sympatję w Wiedniu. Stąd już krok tylko do pomagania wszystkim czynnikom, działającym na rzecz osłabienia Polski, a do znienawidzenia tych, którzy szerzą program mocy polskiej.

Dla dusz tak nastawionych — trzeba przyznać — nastać musiały w Polsce odrodzonej czasy dość kłopotliwe. Nic dziwnego, że konserwatyści znikli na dłuższy czas z horyzontu, czekając na „konjunkturę“. To pewna, że tak znakomitej konjunktury, jaką mieli za rozbiorów, nie znajdą. Ale przecież: może przyjdą czasy, że ktoś powie władnie, iż niema narodu, tylko jest zbiór idjotów, a w kłopotliwem położeniu potrzebne być mogą usługi szkoły krakowskiej (silna władza), „protokuł“, arbitraż *(elegentiarum)*. Istotnie „konserwa” użyteczna się okazała jako dama do towarzystwa i parawanik, użyteczna jak Marta przy Małgorzacie. Zawsze można znaleźć stanowisko korzystne, tylko trzeba mieć trochę... plastyczności moralnej.

Zalety Marty krakowskiej ujawniły się w całej pełni w sprawie tak delikatnej w swej niedelikatności, jak brzeska. Ileż wyrozumiałości i tolerancji okazuje i jak jest rada, że głosy oburzenia na grzech „nie podziałały na masy“.

Powtarza się dziwny proceder — delikatnie mówiąc — pośrednictwa w złem przeciwko matce Ojczyźnie; Marta robi co może, aby się zasłużyć złemu duchowi mocarstwa anonimowego:

Gdy matka wyjdzie, lub się zdrzemnie,
Przychodź tu do mnie potajemnie,
Ustroisz się przed lustrem ładnie,
Ostoję zawsze znajdziesz we mnie.

I przystraja Małgorzatę w klejnoty Fausta.

Społeczeństwo polskie tak patrzy na obecną rolę konserwatystów krakowskich; i to im trzeba powiedzieć, gdy chwaląc się konjunkturą i prawiąc o racji stanu, przeholowują w cynizmie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WOLNOMULARSTWO W POLSCE W OKRESIE KRÓLESTWA KONGRESOWEGO

TAKI właściwie tytuł powinna nosić książka prof. Szymona Askenazego o Łukasińskim. Miałaby też wówczas więcej czytelników, a niejeden, który ma w pamięci, że przeczytał pierwsze jej wydanie, które się ukazało pod cenzurą rosyjską, wziąłby do ręki wydanie nowe, wolne już od cenzury innej, prócz autorskiej [1]).

Jest to niewątpliwa apologja wolnomularstwa polskiego, napisana z zamiarem uwydatnienia jego roli w okresie Królestwa Kongresowego, a więc i w przygotowaniu wypadków lat 1830 i 1831. Dowiadujemy się od Askenazego, że wszystko, co było narodowe, wszystko, co zajmowało wybitniejsze pozycje w polityce, w literaturze, w sztuce, w życiu społecznem należało do lóż — od ks. Adama Czartoryskiego, do Brodzińskiego i Elsnera. Z tego faktu, zresztą prawdziwego, już może sobie czytelnik sam wyprowadzić wnioski, zarówno historyczne, jak aktualne. Jeśli tak było w okresie Sejmu Czteroletniego, w czasach Królestwa Kongresowego, wojny polsko-rosyjskiej, to czyż nie tak samo być powinno dziś, w Polsce odrodzonej...

Wniosek taki wypływa niechybnie, pod warunkiem wszakże, że się uzna zarówno politykę polską w latach 1815 — 1830, jak i sam fakt wywołania powstania za politycznie mądre i uzasadnione, a w skutkach swych dla Polski zbawienne. Jeśli jednak ktoś sądzi inaczej, to i rola masonerji w innem zgoła przedstawia się świetle. Wówczas trzeba ją uważać za narzędzie wpływów obcych, za czynnik, który życie i działania Polski pokierował nie zgodnie z interesem narodu polskiego i jego misją dziejową, lecz według interesów i dążeń narodów innych, czy też jakichś sił zgoła państwom i narodom europejskim obcych.

Prof. Askenazy odsłania różne tajemnice, lub każe się domyślać ich wyjaśnienia; pomija natomiast prawie zupełnie, lub też z rozmysłem gmatwa to, coby uwydatniło zależność masonerji polskiej od ośrodków zewnętrznych i odkryło te wpływy obce, które pokierowały ludźmi i wypadkami w Polsce, zgodnie z interesami poza Polską mającemi swe źródło.

Rozumiemy więc po przeczytaniu książki Askenazego „tajemnicę“ Łukasińskiego, choć autor nam sam rozwiązania jej nie daje. Bo dowiadujemy się, że związki wolnomularskie w Polsce były tylko odgałęzieniem związków podobnych, działających w owe czasy w sposób bardzo wytężony we wszystkich krajach europejskich. W związkach tych byli czynni i Aleksander I i Konstanty. Co więcej, cesarz rosyjski używał je (a może był przez nie używany) do organizowania polityki europejskiej, służącej jego zamiarom. Przez wolnomularstwo w Polsce przygotowywał utworzenie Polski z ziem dawnej Rzeczypospolitej i połączenie tej Polski z Rosją, i temu też celowi służyły, powołane do życia conajmniej przy jego współdziałaniu (jeśli nie z jego inicjatywy) loże rosyjskie. Jego zamiarom imperjalistycznym służyły związki wolnomularskie na Bałkanach, zwłaszcza w Grecji... Wszystko to wiązało się w sposób bliżej nam nieznany z intensywną pracą tajnych stowarzyszeń we Francji, we Włoszech, w Niemczech... Nie ulega wątpliwości, że Łukasiński, jako szef Wolnomularstwa Narodowego i Towarzystwa Patrjotycznego, był w to wszystko wtajemniczony, że znał dokładnie działanie i rolę członków domu panującego rosyjskiego na terenie masonerji. Dla powodów, które tu pominiemy, zmienił Aleksander I w latach dwudziestych zeszłego wieku swą „orjentację”. Poniechał dawnych zamiarów, oddalił się od wolnomularstwa, wypowiedział mu cichą wojnę, wreszcie zakazał związków wolnomularskich w Rosji i w Polsce. W tych nowych warunkach Łukasiński stał się niewygodny, a rychło i niebezpieczny. Gdy więc naogół postąpiono z dawnymi członkami lóż narodowych bardzo łagodnie, gdy najczęściej starano się sprawy ich zatuszować, z Łukasińskim postąpiono dziwnie surowo, starannie wywieziono go z Polski, a następnie, nawet po odbyciu lat kary, ną którą był zasądzony — osadzono go w Szlisselburgu i do śmierci przez lat 50 trzymano w zamknięciu. Rzecz jest jasna: wiedział zbyt wiele, był wtajemniczony w żywot wolnomularski Aleksandra I i wielu innych osób, musiał należeć do wyższych stopni w łożach; odpokutował za to, że zaszedł zbyt wysoko, nie dowierzano mu, że dochowa tajemnic...

A dalej „tajemnica“ inna: wolnomularstwo jako pole działania i krzyżowania najprzeróżniejszych wpływów. Byli w łożach nieposzlakowani patrjoci, byli agenci Aleksandra I i Konstantego, byli przedstawiciele policji (szef policji gen. Rożniecki był nawet wielkim mistrzem), byli agenci pruscy, pracujący nad skłóceniem cesarza z Polakami i t. d. Zaiste są, jak widać, loże zawsze terenem działania sił najciemniejszych. Naiwni wchodzą do nich

[1]) „Łukasiński“. Warszawa. Nakładem drukarni Wł. Łazarskiego. 1929.

z przekonania lub przez snobizm, pozostają w niższych kondygnacjach, a tam gdzieś wyżej stoją ludzie, którzy manewrują niemi i używają ich do celów, obcych zarówno im, jak i narodowi, do którego należą.

Byłoby rzeczą nietylko interesującą, lecz i ważną, bo mającą znaczenie nawet aktualne, wiedzieć, jakie wpływy i jakiemi drogami szły z zewnątrz do Polski w okresie Królestwa Kongresowego i w chwili wybuchu powstania. Wtedy bowiem dopiero zrozumielibyśmy przyczyny wypadków listopadowych, przebieg wojny polsko-rosyjskiej i towarzyszącej jej polityki. Wiemy dziś, że bezpośrednim powodem wybuchu rewolucji był zamiar Mikołaja I wysłania wojsk polskich do Belgji, dla stłumienia rewolucji tamtejszej. Wiemy, że związki wolnomularskie doprowadziły do wybuchu w Polsce dla ułatwienia sobie akcji na zachodzie. Lecz szczegółów nie znamy, jedni historycy wogóle nie biorą pod uwagę działania masonerji, inni przemilczają świadomie jej decydującą często rolę. Prof. Tokarz w swej książce „Sprzysiężenie Wysockiego“ wspomina o tem, że Wysocki „był to człowiek kierowany stale przez innych, stanowiący ich narzędzie“. Tych „innych“ określa mianem „Epigonów Towarzystwa Patrjotycznego“, a więc wskazuje na ich filjację wolnomularską, lecz nie wymienia ani jednego nazwiska, nie daje żadnego ściślejszego określenia. Zamykamy książkę z przeświadczeniem, że noc listopadowa była dziełem masonerji, działającej przez niewtajemniczonego w rzeczy istotne Wysockiego, lecz nie wiemy wkońcu: ani kto, ani dlaczego?

Dziś wiemy, że najrozumniejsi ludzie byli przeciwni powstaniu, a mimo to ani chcieli, ani umieli mu się przeciwstawić. Wielu liczyło na to, że je stłumi Konstanty! „Mógł był w. Książę, — pisze z żalem Niemcewicz (cytujemy z książki prof. Tokarza) — jeszcze wieczora tego, lub nazajutrz rano przytłumić rewolucję, wrodzone tchórzostwo nie dało“. „Przekonanie, że ten ruch będzie stłumiony, musi być stłumiony przez wojska rosyjskie, pragnienie, aby tak się stało, zanim przybierze określony charakter powstania narodowego, miało w Warszawie licznych zwolenników. Głośno, kanciasto wypowiadali je żołnierze, jak Chłopicki, Potocki, tak samo jednak myślano i w kołach polityków“ (Tokarz). Dodamy — za takie przekonania zginęli: Hauke, Blumer i Potocki, ludzie prawi i dobrzy Polacy.

Gdy się czyta dzieje powstania i poprzedzającego je okresu, pozostaje smutne, tragiczne wprost wspomnienie. Nie tylko dlatego, że wysiłek zakończył się niepowodzeniem i pogorszeniem położenia kraju, lecz dlatego także, że się ma przed oczyma obraz narodu, na którego ciele były dokonywane nieznane mu i szkodliwe dlań eksperymenty. W ośrodku myśli, czucia i woli nie byli panami ludzie, mający wyłącznie i jedynie na celu życie i przyszłość własnego narodu, lecz narzędzia woli oraz interesów obcych, wciągnięte w obręb tej woli i tych interesów przez związki wolnomularskie. Tragiczną jest rola Wysockiego, działającego pod rozkazami owych bliżej nieznanych „Epigonów“ Towarzystwa Patrjotycznego, ważącego się na wtrącenie kraju w wir walk i wojnę, bez świadomości: dlaczego i poco? Lecz czy nie bardziej jeszcze tragiczną i złowrogą jest rola tych, którzy wydawali rozkazy Wysockiemu, a którzy z kolei otrzymywali owe rozkazy z poza obrębu swego, skądś, gdzie nie Polskę miano na myśli i na celu, lecz jakieś dalekie jej i obce, a może nawet groźne dla niej i wrogie interesy?

Wyświetlenia roli wolnomularstwa w okresie od 1815 do 1831 roku wymaga nietylko ciekawość historyczna (bez znajomości tych rzeczy nic się wogóle nie rozumie), jest to potrzebne z innego jeszcze względu — na tym przykładzie najlepiej się bodaj da poznać złowroga rola wolnomularstwa w okresie ostatnich dwóch stuleci w Polsce, jako narzędzia wpływów obcych i używania nieopatrznego narodu polskiego do działań, ani nie służących jego interesom, ani nie leżących na linji jego dziejowego posłannictwa. Uważny i świadomy czytelnik książki prof. Askenazego musi dojść do takiego wniosku, sprzecznego z założeniami i zamiarem autora.

VIATOR

DWIE MISJE BOYA

W NIEDZIELĘ po obiedzie zazwyczaj czytuję Boya. — Otóż, niedawno czytając „Marzenie i pysk“ znalazłem tam przedruk pewnego artykuliku p. t. „Kradziona mądrość Boya—mędrca“. Artykulik ten wydał mi się znany; doczytawszy go do końca, przekonałem się że jest to moja krótka notatka polemiczna umieszczona w „Głosie Nar.“ w 1929 r. *Notabene*, ucieszyła mnie ta reprodukcja, bo ostatecznie jest to dla mnie czysty zysk: Nie wszystek umrę i jak długo czytany będzie Boy, tak długo będę czytany ja!... Coprawda, Boy podaje ją jako fakt mający „znaczenie ostrzegawcze: ukazuje otchłań iście saskiej ciemnoty, w jakiej chciałyby pewne sfery pogrążyć naszą umysłowość“. Będę więc z nieszczęsnym artykulikiem moim sterczał przez wieki— (jak długo będzie czytany Boy) — jako przykład ciemnoty polskiej pierwszej połowy XX w. — coś tak, jak ten biedny X. Chmielewski ze swojemi „Nowemi Atenami“ w. XVIII. Może jednak warto czytelnikom „M. Nar.“ pokazać przy okazji, co Boy uważa za „saską ciemnotę“, jak więc, wedle gustu Boya, wyglądałoby oświecenie, kultura, i wogóle to co jest przeciwieństwem ciemnoty. Artykulik ten brzmi:

„Boy, zalecający „sublimowaną“ pederastję jako pożyteczny motyw dla wychowawców, ukazał się tym razem w nowej roli, pedagoga. Warto zauważyć, że ta jego mądrość pedagogiczna nie może mieć nawet pretesji do oryginalności — to mądrość kradziona, a mianowicie od Niemców. Taki np., nad miarę wysławiany w pewnych, pod wpływem niemczyzny pozostających kołach, Edward Spranger (nie „Sprenger“ jak w przedruku Boya, widocznie błąd druku), „neoidealista“, w swojej „Psychologji młodzieży“ wcale wyraźnie daje do poznania, że dobrze jest kiedy *„Eros“*, nb. „sublimowany“ — kieruje nauczycielem w stosunku do ucznia. Inny szwab, niejaki H. Blüher, daje całą teorję perwersji, a nawet w rozprawie p. t. *„Wandervogelbewegung als erotische Erscheinung“*, takie właśnie „istotne“ tendencje insynuuje (słusznie czy nie, niech się o to Niemcy spierają!), tak silnie rozwiniętemu ruchowi turystycznemu młodzieży niemieckiej. Objawy patologiczne, same w sobie smutne, zdarzają się wszędzie, ale tylko Niemcy są na tyle dowcipni, by dorabiać do świństwa teorję i zalecać ją światu jako wartość cywilizacyjną! Pan Boy-Żeleński, który jako tłumacz z literatury francuskiej

przyswoił naszemu piśmiennictwu wiele arcydzieł, ale niemało rzeczy, bez których od biedy byłoby się obeszło, teraz bierze się do przyswajania nam mętów niemieckiej mądrości, od dawna zdemoralizowanej przez heglowsko-panteistyczny kult dla faktu i wszystko co jest ma swoją rację bytu, *ergo*... jest wartościowe. Od takich mętów „filozoficznych“ trzeba bronić naszą umysłowość, nasz gust, nasze zdrowe instynkty. Dotychczas u nas „najistotniejszem tworzywem idealnego pedagoga“ były uczucia ojcowskie, przyjacielskie, patrjotyczne, religijne, idealizm moralny — i te jakoś naszemu prostactwu całkowicie wystarczały!“

Boy wziął całkiem naiwnie to „prostactwo“, tak, jak ono tam było, bez cudzysłowu, na serjo,— i taki dodaje komentarz:

„W ten sposób rozprawiają się te sfery z „mądrością szwabów“: typowy odzew naszego „zagłobizmu“. Nie zdaje mi się, aby koleje Polski wykazały, że nam się tak dobrze działo z naszem prostactwem, iżby je tak trjumfalnie nad „szwabskie wymysły“ gloryfikować“.

Boy broni się, że niesłusznie mu zarzucono, jakoby pomysł swój zaczerpnął z literatury.

Zbłądziłem więc niepotrzebną „wpływologją“, mamy do czynienia z jego własną oryginalną myślą. Oddajmy mu ten honor.

Jakże zatem wygląda to oświecenie, ta kultura, ten pedagogiczny postęp, którego „zagłobizm“ polski nie jest w stanie pojąć? Notatka, moja była odpowiedzią na jeden z feljetonów Boya, — (znaleźć go można pod tą samą okładką „Marzenia i pysku“),— w którym znajdował się taki ustęp:

„Trzeba zamiłowania, trzeba kochać młodzież. Otóż słowo „kochać młodzież“ prowadzi nas dość prosto do kwestji, która musiała mnie interesować, zarówno jako lekarza, jak jako m ę d r c a, mianowicie do kwestji homoseksualizmu, w stosunkach między wychowawcą a uczniem. Proszę mnie źle nie rozumieć, nie chcę insynuować nic groźnego, ale z drugiej strony nie podobna przez pruderję zamykać oczu na to, co życie przynosi lub może przynieść“!

No więc, bez pruderyj, bez insynuacyj, czekajmy na bliższe eksplikacje. *Exempla docent*. Szczęściem, po wzmiance o Platonie i pedagogji greckiej, z której okazuje się, że „ten charakter może się „s u b l i m o w a ć“ w najszczytniejsze wartości“ — znajdują się dwa konkretne wspomnienia Boya z jego lat gimnazjalnych. Oto jak Boy, z jakąż logiką podziwu godną, z jakimż, żeby tak powiedzieć stylistycznym taktem, dowodzi, że „ten charakter może się sublimować“?

Wspomina więc jakegoś swego katechetę, który się, bywało, formalnie łasił do chłopców: A potem drugiego nauczyciela opisuje dokładnie.

„Był to młody człowiek, mały, o półdziecięcej drobnej twarzyczce, dyszkantowym głosie, z mizdrzącym się trochę ale bardzo rzeczywistym wdziękiem. Uczył znakomicie etc. Umiał zdobyć sobie posłuch, umiał grać na chłopakach, jak na instrumencie, wydobywać z nich conajlepsze, pobudzać ambicję“.

Czy do tego potrzebny jest akurat „mizdrzący się wdzięk“ i dyszkantowy głosik profesora? Ale dalej:

„Cała klasa kochała się w nim potrosze, wszyscy przedrzeźniali z czułością jego spieszczony sposób mówienia, patrzyli na niego w o s o b l i w y sposób. Nigdy nie dopuścił się najmniejszej n i e w ł a ś c i w o ś c i, niczego coby nasuwało bodaj cień podejrzenia“.

Pilnował się, bo jeszcze jego środowisko wówczas nie wyrosło z „saskiej ciemnoty“, musiał więc wstydzić się. Co prawda, wykładając łacińskich poetów objaśniał, „że wszystkie te wiersze i ody pisane rzekomo do kobiet, wszystkie te Cyntje, Hortje, Tulje i t. p.“ to mistyfikacja, przeróbka średniowiecznych mnichów — przepisywaczy, gdy w istocie były tam imiona chłopców. „Zmężczyźniając te imiona rumienił się, skłaniał głowę na ramię, przymrużał oczy, zasłaniał je ręką, robił wszystkie minki zalotności“.

Smaczne. Pozatem okazuje się, że jednak p. profesor conieco demoralizował. Ale teraz najciekawsze, konkluzje Boya z tego wspomnienia: wynurzenia owego filologa, „co do charakteru których nie ma on najmniejszej wątpliwości“, utwierdzają go w przekonaniu, że „trochę „sublimowanej“ pederastji, jest może najistotniejszem tworzywem idealnego pedagoga“ i t. d.!...

Oto Boy ze swoim wizerunkiem nauczyciela, Boy szermierz oświecenia, pogromca ciemnoty.

Dyskusja zbyteczna. Są pewne *sic volo, sic iubeo* zdrowego gustu, które nie znoszą nawet dyskusji. Są sytuacje, w których musi nastąpić jakaś majoryzacja. Albo majoryzacja zdrowych — albo majoryzacja wypaczonych. Z pewnością, są między tymi ostatnimi biedni, nieszczęśliwi, tragiczne punkty na przecięciu się ślepej, rozrzutnej natury z celowością własną człowieka, ale są i bestje rozwydrzone, co chcą wszystkiego popróbować, każdej ordynarności odczłowieczenia smak wyrozumieć. Wogóle, pewne niezłomne imperatywy opinji mają znaczenie ochronne, bronią przed upadkami i wypaczeniami wszystkich chwiejnych, wszystkich z pogranicza [1]). Ale nie o te sprawy idzie mi tu, tylko o Boya.

On żali się, że nie został zrozumiany, powiada, że mógł „zgorszyć i oburzyć chyba tych, którzy nie znają poczucia żartu, którzy c e l o w o chcą p r z e k r ę c a ć i źle r o z u m i e ć“.

Przepraszam, nie przyjmuję tego zarzutu, bo uwielbiam Boya dowcipnego. Jego dowcip jest wprost klasyczny, maksymalnie lapidarny, któż np. — z lepszą ekonmją słów potrafi przedstawić dzieje, psychologję, sen nieszczęśliwej miłości, jak te niby naiwne dystychy:

„Jak zobaczył, że nie sposób
Chodził do innych osób.
Ale już zaraz za bramą
Mówił, że to nie to samo“.

To epokowe. W tem jest coś z ujęcia *sub specie aeternitatis*. Albo np. kiedy był jubileuszowy obchód Franca Józefa we Wiedniu, a malarz Uziębło jechał z krakowskiem weselem jako pierwszy drużba, ta piosenka:

„Uziębło, uziębło, lecz jeszcze się odgrzeje“...

na nutę „Bóg pobłogosławi, ojczyznę nam zbawi“... Przecież jest w tem dyskretnie ujęta cała kwinten-

[1]) Niedawno Boy stanął znowu w obronie t. zw. „mniejszości seksualnej“. (Byłoby ciekawem dowiedzieć się jakim był udział owej, z pewnością wdzięcznej mu, „mniejszości“ w plebiscycie „Wiad. Lit.“?). Jemu łatwo bronić tych rzadkich okazów „zmienności“ natury, napewno nie zna tej niecierpliwości: Czyż, u djaska, już się wszystko ma zapłciowić? Czy to nie dosyć, że już wszechobecna *femina* z a k o e d u k o w a ł a nam całe niemal życie — podczas kiedy dla k o e d u k a c j i jedno miejsce najstosowniejsze... w małżeństwie... Sama erotyka na tem cierpi. Z intensywnej, ognistej, o wysokich napięciach, robi się ekstensywna, leniwa, lepka. Zdrowy, czysty, konserwatywny, męski świat — to świat stanowczych, wyraźnych, różnorakich r o z d z i a ł ó w. A tu jakiś litościwo-przekornych mędrzec przyprowadza delegację takich, conajmniej, nieszczęśliwców, co nam chcą d w u z n a c z n ą uczynić resztę ocalonego od płciowości życia. Do tego doprowadziłaby toleranoja. Nie, tu działać może tylko k a z u i s t y k a m i ł o s i e r d z i a, ale nie u p r a w n i e n i e! — jeśli bronić się ma n a s z rodzaj życia: spirytualistyczny — i m ę s k i. A jest przeciw czemu się bronić. Wypaczenie wszak robi sobie miejsce w literaturze coraz zuchwalej!...

sencja naszej galicyjskiej, specjalnie zaś krakowskiej, atmosfery, tego c. k. polskiego dobrodusznego, ale trochę taniego patrjotyzmu. O ile żart Boya ma wszelkie warunki potemu, ażeby zbłądzić pod strzechy — (a może raczej żeby z pod takiej porządnej, solidnej, zacofanej strzechy być wygonionym?...) — tu jego dowcip jest dyskretny i przy pozorach prostoty, (jak często prostactwa?) wyrafinowany. Deklamując po wiele razy „Stefanję“ w rozmaitych towarzystwach przekonałem się, jak inteligentną jest ta humorystyka. Żaden hebes nigdy się nie śmiał. Mam nawet formułę matematyczną: Nasilenie pękania ludzi przy dowcipach Boya jak wprost proporcjonalne do ich inteligencji.

Ale gdzież — wracając do owego cudownego wychowawcy, mizdrzącego się dyszkantem, — był żart w owym Boyowym morale, wyciągniętym z miłego wspomnienia? Gdzież „przekręcanie“? Przecież jest tam wyraźny postulat („utwierdzony jest w przekonaniu, że trochę i ta“, p. wyżej), — i jest do tego przykład — coprawda, dobrany jak kulą w płot. I skoro Boy się sumituje, to dowód, że owa notatka polemiczna sięgnęła celu swojego.

Jeśli pozwalam sobie poruszać publicznie ten incydent, to dlatego, że warto na jaskrawym przykładzie okazać co Boy uważa za ciemnotę, co za światło i jakim sposobem polemizuje. A to nie jest obojętne. Bo nikt nie zaprzeczy, że pozycja „Boy“ w naszem życiu literackiem, wogóle umysłowem jest znaczna. Dla wielu, Boy jest autentycznym mędrcem, dla wielu wcieleniem samej wszeteczności. Otóż, należy się co do tego porozumieć.

Boy jest świetnym, rasowym, pierwszej klasy, hojnie inteligentnym feljetonistą, który z każdej błahostki potrafi zrobić coś — coś zawsze zajmującego. Jest niezmordowanym i tęgim tłumaczem, choć może nie w każdym wypadku szczęśliwym — (mam np. pewne wątpliwości czy tłumacząc „Myśli“ Pascala, zawsze był wyrazicielem adekwatnym, czy zawsze dosięgnął monumentalnego patosu stylu Pascalowskiego?). Jest essayistą doskonale treściwym, jest stylistą wzorowym, panuje u niego piękna jasność, bezpretensjonalna prostota, słowem, prawdziwy, podziwu godny, że tak powiem, rozsądek stylu. Wszystko co napisze jest pakowne, bez waty. Talenty nadzwyczajne. Ale co do „mędrcości“ jego?

Rzecz w tem, iż Boy sam nie chce zdać sobie sprawy, czem właściwie ma być, jaką przybrać rolę — („rolę“ — bez przytyku, myślę o tem, co Niemcy nazywają „*Innenbild*“). Raz, wyznaje, iż jako dziecko miał jedną „właściwość, która mu została: byłem błaznem“. I powiada, że „instytucja błazna musi tkwić w potrzebach człowieka, jako ludzka korektura dogmatu, władzy”. (Por. „Pijane dziecko w mgle“, str. 6). I owszem. Tu jesteśmy przy czemś, wiemy gdzie stoimy. I jeśli autor „Słówek” tę misję bierze na swoje barki, to wypada tylko lojalnie przypomnieć, że i w profesji Stańczyka wykazać można wiele inteligencji, nawet genjuszu swoistego. Zgoda.

Ale Boy na tem nie poprzestaje. Reklamuje się jako mędrzec, co więcej, jako takiego biorą go niektórzy: Całkiem na serjo. Im imponuje, im zachwiać może niektóre pewności obyczajowe.

Ale cóż? Kiedy znajdzie się ktoś, co na serjo go weźmie, ażeby z nim polemizować, walczyć z jego myślami, jak się walczy z określonemi treściami ideowemi, to cóż się okazuje? Boy żali się, że nie zrozumiano jego żartu. Boy się wymyka dyskusji na serjo. Irytuje się, wskakuje na koturny gniewu, jakiegoś morału ogólnikowego, historjozofji, nie umie powiedzieć nic pozytywnego, nic frapującego, pieni się, słowem zachowuje się w sposób, jaki zgoła nie znamionuje mędrca. Ba, przestaje być dowcipnym, a zatem traci swoją rację bytu (parafraza jego dowcipu o żydach), przestaje być najlepszym sobą. Boy, wzięty na serjo, broniąc się przed tymi, coby go tak chcieli brać, ale przeciwstawić się mu, przestaje być Boyem. Więc?...

Niżej podpisany bynajmiej nie należy do tych, co zgóry, w czambuł potępiają wszystkie rewizje, wszystkie skandale Boya. Owszem, twierdziłem nieraz pomiędzy przyjaciółmi, a teraz powtarzam to publicznie, że niektóre z kwestyj, poruszonych przez Boya, zasługują na zastanowienie się jaknajpoważniejsze. Boy powiada, że duszno, otwiera okna. Ale czy dobrze otworzył? Czy nie okna od tylnej strony mieszkania, na bardziej jeszcze duszne, cuchnące oficyny? Boy woła: Tu boli. Ale czy jego alarmy są zawsze godne uwagi, i kiedy to są alarmy rzeczywiste, czujnego na niebezpieczeństwa faktyczne „mędrca“, a kiedy mistyfikacje błazeńskie? Są u Boya kwestje — i są kwestyjki.

Proszę: Boy przypomina sobie pewnego złotego młodzieńca, który już długów miał powyżej uszu, a chciało mu się wciąż jeszcze birbantować, więc naprzód pożyczał fraki u przyjaciół i sprzedawał je, a wreszcie raz poszedł na bal dobroczynny i zwędził z tacy kilkadziesiąt guldenów; przyłapany w łeb sobie strzelił. Boy moralizuje na ten temat: „Ileż kobiet byłoby poratowało tego ślicznego i miłego chłopca? Ale nie było sposobu, niewidzialna siła mówiła „niewolno“, ślepa technika życia łamała samo życie... Znów będą krzyczeć na mnie, że jestem niemoralny, że namawiam do brania pieniędzy od kobiet. Ja do niczego nie namawiam, mnie jest tylko żal patrzeć na ludzi, gdy się kręcą w kołowrocie, który ich miażdży, gdy męczą się i giną nieraz przez bałwochwalstwo jakiejś zabłąkanej fikcji. Przypominać o względności pojęć, o płynności wierzeń, było zawsze prawem filozofów“. („Pijane dziecko we mgle, 112“).

Któż to mówi, który Boy, tak filozoficznie, tak poważnie, tak głęboko, tak uczuciowo? Oczywiście: mędrzec. Ale ten mędrzec odrazu zastrzega się, że ku niczemu nie zdąża, odrazu doprasza się, żeby nie krzyczeć na jego suggestje, on przecież niczego nie propaguje... Jakto, nie namawia, nie propaguje?!... Albo — albo: Albo to prawda, że być babskim utrzymankiem to jest świństwo, albo też prawdą jest, że wstrzymać się jeszcze na brzegu tego upadku — jak ów nicpoń przedwojenny — to jest tylko „bałwochwalcze“, czyli nonsensowne, uleganie jakimś tam, djabli wiedzą skąd zawleczonym fikcjom? Jedno z dwojga. Ale nie podnośmy głosu, nie irytujmy się, gotów i Boy — mędrzec zirytować się i odpowiedzieć — niedowcipnie. A szkoda tego pióra. Ktośby, jakiś rodzimy „zagłobista“, powiedział, że tutaj — i nie tylko tutaj — poczęstował nas Boy nieskąpą miarką cynizmu. Ale cynizm, to poważne, to ciężkie to pospolite słowo.

Nie róbmy kwestji, nie dajmy brać się na kawał, znajmy się na żartach, choćby były sentymentalne, płaczliwym tonem pijanego dziecka mówione.

W mędrcu ukrył się tamten, a może to tamten przebiera się czasem za mędrca? Ku uciesze mądrych, ku podziwieniu głuptasów. Mam podejrzenie, że kiedy tamten gra mędrca, to Boy zaczyna ten żarcik brać na serjo. A to byłoby już smutne. Nie pasowałoby do umysłu dotychczas tak dowcipnego, tak bystrego, tak świadomego.

Boy miewa słuszność, ale te słuszności może roztwarza w tak wielkiej ilości błazenady, i to tej niewesołej, filozofującej, mędrcowatej, że temu, w czem nawet ma słuszność ,więcej szkodzi, niż pomaga. Trzebaby więc w końcu zdecydować się, obrać sobie jedną misję, bo są misje, które się wzajem wykluczają. Albo — albo: albo mędrzec— albo tamten, coś odrzucić — przy czemś zostać. Boy jako mędrzec niestety zbyt łatwo wypada z równowagi, wypada ze siebie. Widoczne jest, że w tej postawie nie czuje się pewnie.

Więc?...

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

ECHA MEDYCKIE

ZWIERZENIA POETY

Nie dlatego, abym za szczególnie interesującą uważał właśnie moją drogę myśli i rozwoju twórczego, ale dlatego, że studjum różnych wpływów na duchowy rozwój człowieka, na jego sposób myślenia i na jego twórczość pisarską jest pouczające i wychowawcze samo przez się i do myślenia pobudza, — dlatego chętnie życzeniu waszemu uczynię zadość, tem bardziej, że rozmowa taka i mnie samemu niejedno prędzej uprzytomni.

Daleki od zwierzeń o szczegółach mego najbardziej wewnętrznego życia, bo takie szczegóły w granicach właściwych mogą być tylko kanwą treściową dla liryki, ale ani zasadniczych skłonności nie wyjaśniają, ani tem mniej nie tłumaczą technicznego wyszkolenia i tajemnic warsztatowych pisarza, — ograniczę się do przedstawienia terenu, na którym wyrosłem i czynników, jakie myślom moim i sposobom wypowiedzenia nadać mogły zasadniczy kierunek. Jeżeli zaś czasem poza suche fakty wykroczę, dając folgę refleksjom, to nie zapominajcie, że będzie to tylko powtórzeniem zwykłej, swobodnej rozmowy.

Dużo zapewne wpływu miała na moje skłonności pisarskie moja tradycja rodzinna i atmosfera domu. Ojciec mój, dziad i pradziad biorą lub brali wielki udział w życiu i pracy literackiej, a dokoła nich gromadził się nieraz od lat stu cały prawie świat piszący polski. Pozostały po tem wspomnienia i rękopisy. Nie mogłem przeto nie wynieść z domu naturalnych skłonności do wypowiadania się słowem pisanem.

Niemniej nie byłaby ta skłonność czynnikiem decydującym, gdyby nie inne okoliczności. Nieraz przychodziło mi do głowy, że pierwszym moim nauczycielem technicznym było: przymusowe bezrobocie i przymusowe milczenie. Przez osiem lat gimnazjum byłem na pensji w Krakowie, gdzie bezmyślny rygor trzymał nas przez cały piękny boży dzień, prócz jednej godziny przymusowego spaceru z korepetytorem i godzin szkolnych, na uwięzi w osobnych pokojach lub zasiekach. Wobec tego, po dwugodzinnem najwyżej przygotowaniu do gimnazjum, siedziało się w krześle przed pustą ścianą lub leżało na łóżku z oczyma wlepionemi w piec. (Jakież przedziwne wspomnienia z dzieciństwa nasuwał głupi gzyms tego białego pieca, gdzieś taki gzyms widziałem, jakieś dziwne a uczuciem tylko pamiętne wrażenia temu towarzyszyły). Byłoby się to stało może klęską, łamiącą mnie na całe życie — gdyby nie to, że miałem pełną duszę i pełne oczy wspomnień z kilkakrotnej podróży z rodzicami i dziadkami nad morze i z Tatr, po których włóczyłem się przez całe lato, przez starego Macieja Sieczkę do radzenia sobie z niemi samemu i do rozumienia ich z blizka zaprawiany— ze świąt spędzanych we Lwowie u rodziców — i wreszcie z niedziel niektórych, kiedy wolno mi było chodzić na „Kleparz“ do domu dziadków.

Z Tatr brałem ze sobą zapach i szum halnago wiatru, który mnie przewiał na wskroś. A z mojemi górami razem skojarzyło mi się życie, język i charakter góralski. Przyswoiłem go sobie tak bardzo, że kiedy później na emigracji w Kijowie straciłem wiarę w możność powrotu do Polski, obraz jej skojarzyłem sobie z Podhalem i napisałem wspomnienie i pożegnanie domu gwarą góralską („O sto mil“ — drukowane w „Wierchach“). Z Kleparza wynosiłem uszy pełne tykotania i bicia starych zegarów i pełne głosów przeszłości (a pamiętałem tam z dzieciństwa Asnyka, Bałuckiego, Karola Brzozowskiego, Sewera i innych), a ze świąt przywoziłem... placki pachnące migdałami, figami i szafranem, które miesiącami ukradkiem przechowywałem, aby dłużej przypominały dom, za którym, pókim nie stwardniał, płakałem, zamykając się w różnych ustronnych miejscach, w których jedynie zamknąć się było można. Tak więc w czterech ścianach żyłem swoim światem, który gwałtownie domagał się wypowiedzenia. Czy jest kto, ktoby w tych warunkach nie zaczął pisać?

Zacząłem więc pisać „dla siebie", początkowo naturalnie nieudolnie, aż mi własne poczucie formy nie poczęło korygować pióra, — a najniezgrabniej pisałem, pókim naśladował. Z zewnątrz nie miałem żadnego w tem nauczyciela, prócz jednego mojego ojca, którego rzadkie ale zdecydowane wskazówki i uwagi, w dwóch słowach czasem zawarte, najmocniej trafiały mi do przekonania. Tylko że kiedy doszedłem do formy, nie było już „przymusowego bezrobocia“. Już się zbierały nad moją głową rozmaite sprawy i zadania, które mnie wytrącały z rutyny wypowiadania się i rwały ciągłość myśli. Trudno jest pisać wiersze z młynem klekoczącym nad sobą.

W domu, bądź to na wakacjach, bądź później stykałem się często z Kasprowiczem, — o którym wspomnienia moje opowiem wam osobno,—a w roku 1903 przyjechała do nas do Zakopanego na lato po raz pierwszy Maryla Wolska, daleka kuzynka nasza przez męża, przyjechała świeżo po wydaniu swego „Święta Słońca", które było dla mnie artystyczną rewelacją. Pisywało się u nas wtedy wieczorami, w domu pod Jedlami na Kozińcu, sekretarze rymowane, w ten sposób, że ktoś jeden

podawał rymy, a ktoś drugi dorabiał do tego poemat, lub że do podanych połówek strof dopisywało się drugie połowy. Ćwiczenie to, w którem brali udział wszyscy domowi i goście, wyrabiało ogromnie łatwość formy. Pozostały mi z tego czasu setki wierszy, w których celowali ojciec mój i Maryla Wolska, pisząca z łatwością i ciętością, o jakiej trudno dać pojęcie. Jakkolwiek pisało się „na żart“, niejeden z tych zbiorowych wierszy — a pisywało się też zbiorowe epopeje humorystyczne—był arcydziełem i mógłby być drukowany „na serjo“.

Głębiej nad tą sprawą się zastanawiając, przyszedłem do przekonania, że nie należy lekceważyć, jako czynnika suggestji twórczej, rymów przypadkowo dobranych lub nadarzonych, bo te właśnie przypadkowości podsuwają nieraz natchnienia niespodziane, z których przez selekcję poczuciem artystycznem może ostać się właśnie to, co jest najbardziej istotne. Mózg bywa często większym niewolnikiem pewnego toru myślenia, wynikającego z pewnych, równie przypadkowych, asocjacyj i okoliczności, kiedy wątek poczyna kręcić się dokoła własnego ogona, — aniżeli niewolnikiem przypadkowego rymu i innych podobnych, zewnętrznych i formalnych wypadków. Te właśnie wytrącają człowieka z błędnego koła i ciasnego toru. Nie należy więc lekceważyć tego pierwiastka inspiracji lub uważać, że kto się nim powoduje, ten zbacza z drogi prawdy. Najpierw, każdy człowiek zareaguje na podnietę po swojemu, a powtóre od tego właśnie jest poczucie prawdy i poczucie sztuki, aby się nie dać sprowadzać podnietom na manowce. Zdaje mi się, że czytałem w ostatnich latach jakiś artykuł, o ile pamiętam Piotra Grzegorczyka, o tej sprawie, który trafia w te moje spostrzeżenia. Zatem te sekretarze poetyckie — jakkolwiek zbytnio niewolące rymopisa, nie były tak całkiem pozbawione wartości.

Już w tych czasach zacząłem sobie ustalać pewne przekonanie z zakresu techniki twórczej. Nie zadowalało mnie nigdy nic, co było napisane *a vista*, co było mniej lub więcej improwizowane. Przekonywałem się, że ta rzekoma „bezpośredniość“ twórczości nie tylko nie jest bezpośrednio sprzęgnięta z intencją autora, ale wlecze za sobą fałsz wewnętrzny. Zaobserwowałem, że pod wpływem danego wrażenia nie nasuwają się te słowa, które mu najbardziej odpowiadają, ale te, które przypadkowo w tej chwili są „na wierzchu“ w magazynie pamięci, i jeśli nie zawierają niczego wprost sprzecznego z treścią wrażenia, zostają uznane za jego najwłaściwszy, bezpośrednio z duszy wyszły wyraz. Póki trwa pamięć wrażenia, wydaje nam się wprawdzie, że słowa te oddają je najlepiej — poprostu dlatego, że je nam asocjują, bo były mu rówieśne— z chwilą jednak, kiedy pamięć wrażenia się zatrze, przestają mieć wartość nawet dla piszącego, bo wrażenia same nie przywołują. Zacząłem więc szanować pracę twórczą. Niema porządnego wiersza, bez porządnej roboty. Do niej napędza Słowacki Bohdana Zaleskiego. Nie mają się poeci „opuszczać, jak lilje na szaty od Boga sprawione, albowiem człowiek jest jedyną istotą, która mając kształt piękny, sama jednak o stroju swoim pamiętać powinna“. Miałem szczególnie silną pamięć wrażeń i uczuć, o wiele silniejszą, niż pamięć faktów, i pomogło mi to zapewne do tego, że miałem inspiracje trwałe, że je latami mogłem w tej samej świeżości w sobie budzić, podczas gdy pracowałem ciężko nad taką formą, któraby ich była najgodniejszą. Niektóre z moich krótkich tercyn z „Hymnu do Natury“ pisałem po kilkanaście lat i te są najlepsze, odleżały się i zniosły, przynajmniej w mojem poczuciu, kryterjum czasu. Te, nad któremi najdłużej pracowałem, mają właśnie najwięcej rozmachu i zawsze mnie podniecają na nowo.

Skoro już o tym „klasycyzmie“ formy mowa, zanotuję tu pewną uwagę. Po wyjściu mej „Harfy Eola” jeden z wybitnych filologów, zaszczyciwszy mnie niezasłużoną pochwałą co do mej formy wiersza, zarzucił mi, że nie czuje w mych sonetach serca, tylko intelekt. „Komuż-bo — dodał — chce się w XX wieku pisać sonety?!“—ta ostatnia apostrofa pocieszyła mnie po zarzucie braku serca w tych właśnie sonetach, o których najlepiej wiem, że je pisałem krwią serdeczną. Rozumiem przynajmniej, że zarzut może się tyczyć nie tyle momentu inicjatywy twórczej, ile formy, która nie zdołała trafić do czytelnika i uzgodnić jego wrażenia z zamierzeniem autora. No tak, ale ostatecznie powyższa apostrofa wyjaśnia mi sprawę: widzę, że rzecz nie w sonetach, tylko w przygotowaniu czytelnika. W XX wieku, w roku 1930 czytelnik, choćby nim był humanista i filolog klasyczny z zawodu, tak jest przyzwyczajony do negliżu formy, że uważa wszystko, co dziś jest ujęte w rygor, za nieludzkie i nieszczere. Tak, jakby serce widzieć można tylko w człowieku w rozchełstanej koszuli, a każdego przyzwoicie ubranego uważać za maszynę.

Kiedyś, *à propos* jakiejś recenzji o „Bibljotece Medyckiej”, w której po wszelkich elożach zauważono, że jednak nie wnosi ona dotychczas nowych form i trzyma się starzyzny, ojciec mój rzucił taką uwagę: „co to za gadanie! Formy są tylko dwa gatunki: dobra albo zła, a reszta jest kwestją mody. Tak jakby Homerowi można robić zarzut, że nie jest podobny do Tuwima. Kasprowicz miał gdzieś kiedyś odczyt, że niema postępu w literaturze — i to jest prawda”.

Ale moda jest znamieniem epoki. A właśnie koło czasu stanęło na dniu dzisiejszym pod ujemnemi gwiazdami. Dlatego jesteśmy w epoce zmęczenia i rozluźnienia tężyzny wszelakiego gatunku, dlatego dominuje u nas w literaturze tak silnie pierwiastek kobiecy nad męskim. Jesteśmy w epoce moralnego batiku, przekładanego nad gobelin. Jak w epoce mykeńskiej, wolimy ornament niż kontur wielkiej budowy, — jak w helenistycznej, wolimy tanagryjskie terakoty od linji Fidjusza. Co z tego wszystkiego zostanie? Zapewne, smutniejszy byłby świat bez rocznych kwiatów, potrzebnych do butonierek, ale w cóż zmieniłby się bez dębiny, buków i jodeł? Dlatego musimy wrócić do linji czystej i potężnej wysiłkiem twórczym, do budowy ciosowej naszego życia psychicznego i wierzę, że jeżeli jest przyszłość, to ta przyszłość jest w ręku tych, którzy na nią szacunkiem dla duszy własnej i godnym jej wysiłkiem zasłużą. A to samo jest nietylko z formą życia i wyrazu, ale i z tematem.

Takie jest moje w tym kierunku poczucie. Zostawmy jednak na boku tę sprawę zasadniczą, nadającą się do osobnego omówienia. Nie mówimy o sprawach zasadniczych, ale o skromnym warsztacie pisarza.

(Dok. nast.) MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

Zrzeszenia literackie. — „Deputat“ i wyższe ideały. — Egzamin brzeski. — „Jedzący z ręki“ światoburcy. — Czy początek odrodzenia?

KTO za lat okupacji niemieckiej zachodził czasem do Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy w Warszawie, zapamiętał niewątpliwie charakterystyczny zapach nito sklepu korzennego, nito składu mąki, przenikający zazwyczaj duszną nieco atmosferą niezbyt obszernego lokalu. Z worków cukru, kaszy i t. p. odmierzano i sypano w torebki — określone, nieduże zresztą porcje, które każdy członek stowarzyszenia miał prawo nabywać, w oznaczone dni, za cenę niższą o wiele, a pomimo to w lepszym gatunku, aniżeli mógłby je był kupować w wolnym handlu, w ciężkim okresie ówczesnych ograniczeń żywnościowych i wojennego głodu. Takie porcje, przyznawane miesięcznie albo też tygodniowo, nazywano podówczas, dość osobliwie — „deputatami“. Za okupacji, a także później za czasów wojny polsko-bolszewickiej, najrozmaitsze związki, stowarzyszenia, urzędy zabiegały usilnie o zapewnienie swoim członkom i pracownikom „deputatu“, stanowiącego niekiedy dla niedokarmionego inteligenta prawdziwe dobrodziejstwo.

Minęła wojna, w odbudowanej Polsce powstał szereg cały związków i stowarzyszeń literackich, o szeroko statutowo zakreślonych zadaniach, w rzeczywistości wszakże, w konkretnem pojmowaniu sensu i treści swojej działalności, żadne właściwie na serjo nie usiłowało nawet wyrosnąć moralnie ponad ideę „deputatu”, ideę tak albo inaczej ujmowanych udogodnień czy korzyści natury materjalnej. Coprawda „wojenną” mąkę i kaszę zastąpiły niebawem obfitsze znacznie i wytworniejsze *menu* na „propagandowych” bankietach, albo na obiadach uroczystych, wydawanych z okazji międzynarodowych kongresów *P.E.N.Club*’ów. W idealistycznych nastrojach tych obiadów wzbierały i wylewały się w toastach: niezmierzone współczucie dla krzywdy ludzkiej, humanitaryzm, pacyfizm... Zasadniczy jednak pogląd na przełom w życiu Polski, jakim stało się odzyskanie przez nią niepodległości państwowej, jak również zasadnicze hasło programowe stowarzyszeń literackich w zmienionych, wynikających z tego przewrotu dziejowego, warunkach, najsyntetyczniej, być może, sformułował p. Ferdynand Goetel w mowie, wygłoszonej dnia 2 listopada 1928 r. na Zjeździe Literatów w Wilnie: „Nędza, która w Polsce ujarzmionej była (dla literata, przyp.) zaszczytem, staje się przecież hańbą w Rzeczypospolitej Polskiej“ [1]). Wołanie o „opiekę i natychmiastową pomoc rządu“ było — zgodnie z tą tezą podstawową—naczelną i jedyną właściwie ideą uchwalonej na tymże Zjeździe rezolucji [2]).

Zrozumiałe jest zatem, że gdy przed tak zorjentowanemi stowarzyszeniami literackiemi wyrosła nagle sprawa sumienia polskiego i ludzkiego, sprawa brzeska, zarządy ich, zaprzątnięte dotychczas bardziej praktycznemi zabiegami, stanęły bezradnie: uznano za bezpieczniejsze „nie angażować się“, nie narażać organizacyj na trudności zewnetrzne i wewnętrzne, zwłaszcza wobec niejednolitego ich składu i niejednolitej zgoła opinji poszczególnych ich członków. W organizacjach zawodowych, społecznych i t. p. oddawna znana jest i stosowana formuła regulaminowa, usuwająca spory i umożliwiająca zgodną współpracę ludzi odmiennych przekonań. Oświadcza się mianowicie: „Stowarzyszenie grupuje ludzi o najróżniejszych poglądach politycznych; w działalności swej stowarzyszenie jest bezwzględnie apolityczne“. Sprawa brzeska dotyczy wprawdzie najbardziej elementarnych zagadnień moralności i honoru. Czemuż jednak nie uciec się do tak niezbędnego poprostu w epoce sanacyjnej „współpracy“, wcale wszak z ideą naczelną „deputatu“ nie sprzecznego, rozszerzenia treści przytoczonej powyżej formuły: „Stowarzyszenie grupuje ludzi o najróżniejszej moralności i honorze; w działalności swojej stowarzyszenie jest bezwzględnie amoralne i ahonorowe“...

Literatura polska, na szczęście, wyżej — jak się okazało — stanęła moralnie, aniżeli jej różne, rzekomo reprezentatywne organizacje. Liczne zespoły — pośród nich najznakomitsze we współczesnem piśmiennictwie polskiem nazwiska — ogłosiły oświadczenia, zwięźle, bez wszelkich zastrzeżeń i niedomówień, określające ich opinję wobec faktów brzeskich. Ci, którzy przez kilka ostatnich lat przepychali się na czołowe stanowiska, ażeby za wszelką cenę zyskać wobec szerokich rzesz rangę jedynych przedstawicieli świata literatury i kultury, ci tak skorzy zawsze dotychczas do najróżniejszych wystąpień publicznych, oświadczeń, orędzi, nagle zamilkli, usunęli się w cień, stali się niewidoczni, kiedy trzeba było wypowiedzieć się w kwestji zasadniczej, nieznoszącej kompromisu, wymagającej jednego, odważnego „tak“ albo „nie“. A równocześnie, jako skutek konieczny takiego stanu, na nowo zaczyna ustalać się właściwa hierarchja autorytetu moralnego poszczególnych pisarzy w społeczeństwie, w której w ostatnim okresie tyle nieładu wprowadzała wyuzdana reklama jarmarczna i oficjalna protekcja.

Najciekawsze wszakże i najbardziej pouczające jest widowisko, jakie dziś dają z siebie oswojeni przedstawiciele humanitarnego albo rewolucyjnego frazesu, rozmaici „jedzący z ręki“ światoburcy, kiedy, niczem ojciec Racheli w „Weselu“, miotani są rozterką wewnętrzną („tu interes — a tu serce“). Oto utalentowany autor „Ludzkości“ milczy uparcie o nieludzkiej kaźni, aczkolwiek wieści o niej zdążyły już dotrzeć zapewne i na najdalsze krańce naszej niewielkiej przecie, jakgdyby jedną dużą rodzinę „penklubową“ stanowiącej planety. Oto p. Juljusz Kaden Bandrowski, żarem współczucia rozpłomieniony na myśl o biednym, nie dorównywającym innym uczniom zdolnościami Kastalskim, albo o niedopuszczanym przez współuczniów-Polaków na stopę równości towarzyskiej, młodym Żydzie, Sontagu („Miasto mojej matki“), owo serce gorejące, na wieść o Brześciu, chłodnie nagle do temperatnry oficjalnego komunikatu: „Nie mam najmniejszego powodu wątpić w lojalną i rzeczową odpowiedź czynników miarodajnych“...

Możnaby przytoczyć więcej przykładów. W dzisiejszej epoce rozkwitu t. zw. literatury polsko-żydowskiej najcharakterystyczniejsze bodaj okaże się

---

[1]) Przemówienie p. Ferdynanda Goetla, prezesa *P.E.N. Club*’u, ogłoszone zostało w osobnej broszurce, p. t. „O prawa społeczne literatury“ (Warszawa, 1929), która, aczkolwiek liczy tylko 28 stron, opublikowana jest, niczem jakieś orędzie do Narodu, nakładem aż 8 stowarzyszeń: Polskiego Klubu Literackiego (*P.E.N.Club*’u), Sekcji literackiej Polskiego Klubu Artystycznego, Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich, Związku Autorów Dramatycznych, Związków Zawodowych Literatów Polskich we Lwowie, Poznaniu, Warszawie i Wilnie.

[2]) tamże

stanowisko najwybitniejszego przedstawiciela tej literatury, laureata miasta Łodzi, p. Juljana Tuwima. Koncesjonowany komiwojażer haseł wywrotowych wypowiedział się publicznie przeciwko Brześciowi, oświadczając, iż „znęcanie się nad bezbronnymi uważam za hańbę", jednocześnie wszakże zastrzegł się przezornie i przeciw temu, żeby protestu „nie kładziono na szalę walk partyjnych", to znaczy walki politycznej w stosunku do tych wszystkich, którzy z metodami brzeskiemi zsolidaryzowali się, przyjmując za nie pełną, polityczną i moralną odpowiedzialność. Co więcej, oburza się on i gorszy ogromnie, że „o protest literatów dopominać się zaczęły czynne aktywnie (co za styl, co za polszczyzna!) ugrupowania"... Aby zaś wizerunek był kompletny, nie zawadzi przypomnieć, że w tym czasie właśnie, kiedy protesty przedstawicieli nauki polskiej wstrząsnęły społeczeństwem, oficjalna „Gazeta Polska" doniosła, iż p. Juljan Tuwim zaproszony został jako jeden z członków sądu w konkursie na marsza uroczystego, komponowanego ku czci marszałka Józefa Piłsudskiego. Wprawdzie przed pięciu kwartałami zaledwie, p. Tuwim zdeklarował się był jako najskrajniejszy, rewolucyjny pacyfista, w wierszu „Do prostego człowieka" doradzający rezerwistom „rzucenie karabinu" na wypadek, jeżeli powołani zostaną do obrony Państwa swego przed wrogiem zewnętrznym. Ale czyż, ostatecznie, wezwań pacyfistyczne nie możnaby wyśpiewywać także chóralnie, na nutę dziarskiego marsza wojskowego: „Rżnij karabinem w bruk ulicy, tram-ta-tam-tam-tam"...?! Czysty interes: wielbić i protestować równocześnie!

Sprawa brzeska również i w niewielkim światku literackim obnażyła mnóstwo kłamstwa, zdemaskowała wiele obłudy, do ostatnich dni tak pewnej siebie, nietykalnej, trjumfującej. Czy będzie to początkiem renesansu?

JAN REMBIELIŃSKI

ZE ŚWIATA

DŻAN-SUIE-LAN, SYN DŻAN-DZO-LINA [1])

DWAJ najpotężniejsi działacze Chin: Dżan-Kaj-szek i Dżan-Siue-lan, na specjalnym zjeździe przyrzekli nie tylko nie wszczynać, ale nawet nie dopuszczać do jakichkolwiek wojen. Któż to są owi dwaj bojownicy pokoju, protektorzy planowej, organicznej pracy dla dobra Chin?...

O Dżan-Kaj-szek słyszał prawie każdy inteligentny Europejczyk. Wie o tym generale, że przed czterema niespełna laty przeciął węzeł gordyjski, łączący nacjonalistów chińskich z komunistami od pierwszych dni republiki; krokiem tym pozyskał poparcie mocarstw obcych, zainteresowanych w grze politycznej, prowadzonej w Chinach; pokonał potężnego północnego marszałka Dżan-Dzo-lina, aż wreszcie zjednawszy kraj cały, przyjął nadaną mu przez przedstawicielstwo narodowe godność prezydenta, z którą połączył władzę dyktatorską. Ostatnie zaś miesiące przyniosły nam wiadomości z dalekich, o tysiące kilometrów oddalonych równin chińskich, że ów najpopularniejszy w Państwie Środka człowiek stoczył ciężką i krwawą, ale przecież uwieńczoną zwycięstwem, walkę na dwa fronty. Los chciał, żeby na obu tych frontach przeciw pierwszemu Chińczykowi walczyli dawni przyjaciele: na południu komuniści, na północy kombatanci z okresu kampanji przeciw Dżan-Dzo-linowi, Jen-Si-szan i Fen-Ju-sian.

Dowiedzieliśmy się też, że do zwycięstwa dopomógł prezydentowi republiki wielkorządca Mandżurji (niby dyktator, niby gubernator), Dżan-Suie-lan, który szybko stał się panem sytuacji w północnej części kraju, wypierając z Pekinu armję Jen-Si-szana. Ten sam Dżan-Siue-lan, co w jakiś czas potem przyrzekł stać na straży pokoju w Chinach. Do zwycięstwa nad dawnymi sojusznikami dopomógł Dżan-Kaj-szekowi syn jego nieprzejednanego, potężnego, po długich, a uporczywych walkach pokonanego wroga, Dżan-Dzo-lina.

Ale choćbyśmy przyjęli nawet, że chęci tych ludzi są, naprawdę, szczere, że wierzą w to, co mówią — dla tych, którzy choć trochę obznajmieni są z historją i polityką Chin, układ dwóch potentantów pozostanie raczej frazesem i fikcją.

Była chwila, gdy wszyscy, nawet najwięksi sceptycy, zaczęli wierzyć, że wybiła dla Chin godzina zjednoczenia i pokoju. Było to w lecie roku 1928, gdy trzej sprzymierzeni marszałkowie, występujący jako spadkobiercy d-ra Sun-Jat-sena i realizatorzy jego ideologji, pokonali potężnego Dżan-Dzo-lina. Kraj cały, znużony śmiertelnie nigdy niekończącemi się walkami, leżał u nóg zwycięzców; nawet zawsze oporna Mandżurja, która od wybuchu rewolucji w r. 1911 nigdy ani na chwilę nie przestała walczyć o autonomję, a raczej zupełną niemal niezależność — uznała zwierzchnictwo rządu nankińskiego, którego duszą był Dżan-Kaj-szek; zaniepokoiły się także obce mocarstwa, rządzące się w Chinach, jak u siebie, i zasuggerowane ową potęgą zwycięsców, zaczęły z nimi pertraktować, przyjmując warunki, o których jeszcze pół roku temu słyszeć nie chciały. Nad gmachami administracyjnemi, nietylko Ci-Nań-Fu i Pekinu, ale Mukdenu, Cicikaru i Charbina, w miejscu dawnych pięciobarwnych — wzniosły się nowe sztandary nacjonalistów: białe słońce na błękitnem tle w rogu czerwonego pola.

Suggestja tego, że wszystko się zmieniło, że nastała nowa era, że odtąd zjednoczone, nierozdzierane walką wewnętrzną Chiny będą bogate i potężne — była tak wielka, że rząd, który chyba ze wszystkich pięciuset miljonów Chińczyków najlepiej zdawał sobie sprawę z prawdziwej istoty rzeczy — zdecydował się na krok, niepamiętny w Chinach oddawna: na walkę zaczepną z ościennem państwem — Rosją Sowiecką.

Walkę tę po paru miesiącach Chiny przegrały. Jednocześnie zaś odżyła na nowo odwieczna walka między Północą, a Południem, walka, której początki sięgają w epokę legend i podań bohaterskich, która czerwoną nicią przewija się przez całą, tysiąclecia ciągnącą się historję Chin, która była bezpośrednią przyczyną rewolucji roku 1911 i wreszcie ostatnio zakończyła się rozgrywką między Dżan-Dzo-linem i jego przeciwnikami.

[1]) W artykule niniejszym, zresztą zgodnie z postulatami wszystkich orjentalistów polskich, zrywam z dotychczas używaną w piśmiennictwie polskiem angielską transkrypcją chińskich imion własnych, zastępując ją transkrypcją, wzorowaną na rosyjskiej, która najbardziej zbliżona jest do fonetycznej. To też w tekście, zamiast utartej transkrypcji: Czang-Tso-lin — będzie Dżan-Dzo-lin; zamiast Jan-Tse-Kiang — Jan-Dze-Dzian; zamiast Kuomintang — Gomindan i t. d. Po raz pierwszy transkrypcji tej w języku polskim użył b. Delegat R. P. w Chinach p. K. Symonolewicz w artykule swiom p. t. „Przekleństwo smoka". („Przegląd Współczesny", wrzesień — październik 1927).

Zakończyła się na chwilę, by wybuchnąć znowu w ostatniej wojnie domowej między rządem a komunistami i między tymże rządem, a generałami Fen-Ju-sianem i Jen-Si-szanem. Ostatnio walka owa zakończyła się zwycięstwem Południa. Lecz sukces ów jest pozorny. Północ bowiem uległa jeszcze dalszej Północy. Dawni sprzymierzeńcy Dżan-Kaj-szeka, reprezentujący właściwe serce kraju: Pekin z przyległemi prowincjami, pokonani zostali przez Mandżurję.

W ten sposób najdalsza chińska Północ, Mandżurja, znów występuje na widowni dziejów, znów zaważyła na szali historji. Mandżurja, na której czele stoi młody Dżan-Suie-lan, syn najznakomitszego działacza politycznego, jakiego wydały Chiny republikańskie... Trzy razy agencje „Reuter" i „Toho" mordowały Dżan-Suie-lana; kilka razy już pisma europejskie (między niemi lwowskie: „Gazeta Poranna" i „Wiek Nowy") zamieszczały jego fotografję z napisem: niedawno zamordowany etc. — a on żyje w najlepsze i śmiało wkracza na teren, jaki przygotowały mu polityka ojca i późniejsze zamieszania w kraju.

Początek karjery tego marszałka, zwanego w całym kraju popularnie „młodym", znajduje się w ścisłym związku z karjerą jego ojca. Rosnący w siłę, gubernator, a właściwie dyktator Mandżurji zgrupował wokoło siebie ludzi dzielnych, przedsiębiorczych i ambitnych, wśród których nie brakło jego syna.

W przeciwieństwie do Południa, gdzie jak w kotle, wrzało wciąż od namiętnych dyskusyj politycznych, gdzie ideologja aż się przelewała i tylko szukała bezskutecznie możliwości wcielenia w coś realnego — w obozie mandżurskim gromadzili się ludzie, których dobrem i celem najwyższym było własne wyniesienie, a przedewszystkiem wzbogacenie się... Owi wszyscy Dżan-Dzun-czanowie, Sun-Czua-funowie i t. d. rozumieli, że przy marszałku Dżan-Dzo-linie najlepszy zrobią interes i dlatego wspierali go wiernie słowem i orężem.

W tej atmosferze wyrastał na przyszłą potęgę Dżan-Suie-lan, którego pierwsze czyny bojowe bynajmniej nie były opromienione sukcesem. Zarówno w pierwszej wojnie z Fen-Ju-sianem, który usadowił się tuż w pobliżu Mandżurji, w Kałganie, jak i w rozstrzygającej walce z Południem — rola młodego marszałka, jako wodza, była minimalna. Zresztą, armja, na której stał czele, podlegała mu tylko nominalnie; faktycznie kierował nią stary, doświadczony generał Jan-Juj-tin.

Gdy latem r. 1928 stary marszałek Dżan-Dzolin, od roku noszący tytuł Tajuńszuaja czyli Naczelnika państwa, musiał uchodził z Pekinu do Mukdenu, cofnęła się również na północ armja Dżan-Suie-lana.

A kiedy 6-go czerwca pociąg, wiozący Tajuńszuaja, tuż przy wjeździe do starej mandżurskiej stolicy — w tajemniczy sposób wyleciał w powietrze, grzebiąc pod sobą Dżan-Dzo-lina — syn zmarłego znalazł się nagle twarzą w twarz przed nową wielką rolą. Przez trzy tygodnie ukrywano przed ludnością Mandżurji śmierć Tajuńszuaja, a tymczasem w Mukdenie prowadzono gorączkowe obrady. Wreszcie — po rozegraniu komedji odmów, wahań i próśb — utworzył się nowy rząd, na którego czele stanął Dżan-Suie-lan. Uroczyście pogrzebano starego dyktatora, a młody jego następca, który jednak był bystrzejszym i przenikliwszym politykiem, niż przypuszczało jego otoczenie, zabrał się do rządzenia prowincjami, które stanowiły najbogatszą część kraju.

Początkowo położenie jego było bardzo trudne. Należało ułożyć się ze zwycięskimi południowcami, którzy przystąpili do licznych reform politycznych i gospodarczych, a na znak swego trjumfu przenieśli stolicę z Pekinu do Nankinu. Dżan-Suie-lan zgodził się uznać hasła ideologji Sun-Jat-sena, a nawet przyrzekł wprowadzić je w życie; poddał się też zwierzchnej władzy Nankinu, która w istocie była tylko nominalną — wzamian za co otrzymał przyrzeczenie, że rząd centralny nie będzie się mieszał do czysto lokalnych spraw Mandżurji.

Trzeba było pozyskać sobie potężne obce mocarstwa. Stany Zjednoczone, a poniekąd i Anglja, wyraźnie skłaniały swe sympatje ku nacjonalistycznemu rządowi nankińskiemu. Młody wielkorządca Mandżurji, wstępując w ślady ojca, szukał porozumienia z Japończykami — co do których przychylności musiał poważne mieć zastrzeżenia, gdyż Państwo Wschodzącego Słońca, które chętnie popierało potężnego Dżan-Dzo-lina, bez żadnych skrupułów opuściło pokonanego i bynajmniej nie okazywało zbyt wielkiej chęci do prowadzenia dalej polityki, którą stosowało wobec ojca — gdy u steru rządów stanął syn.

Wreszcie musiał Dżan-Siue-lan pozyskać sobie popularność wśród ludu. Hasła Gomindanu porywały nawet najbardziej ospałych i beztroskich o los kraju. Na „dynastję" mandżurskich Dżanów niechętnem patrzano okiem, gdyż widziano w nich (poniekąd nie bez racji) zwolenników konserwatyzmu, a nawet podejrzewano, że dążą do przywrócenia monarchji i przybrania tytułu cesarskiego. Młody marszałek starał się teraz uchodzić za gorliwego wyznawcę „San Minu" (ideologja d-ra Sun-Jat-sena), a chcąc pokazać, jak dobro kraju leży mu na sercu, ofiarował na cele oświaty w Mandżurji 9 miljonów jen.

Najtrudniej jednak było mu dać sobie radę z najbliższem otoczeniem, z generałami i gubernatorami, którzy go wynieśli po to głównie, by kierować każdem jego posunięciem. Ale i tu wrodzona bystrość pozwoliły mu wyjść zwycięsko. Mentora swego, Jan-Juj-tena, który ciężył mu coraz bardziej, kazał rozstrzelać pod zarzutem zorganizowania zamachu na Tajuńszuaja. Inni, nastraszeni, przekonani, jak widać, mocną jego postawą — przycichli, i oto młody Dżan, godny następca swego ojca, nie potrzebujący pokonywać tylu trudności, co on, sięgnął po dalsze zdobycze. Usadowiwszy się mocno w Mandżurji, zapragnął wyjść na szerszą arenę.

Klęska Chin w wojnie z Z. S. S. R. była przedewszystkiem klęską Dżan-Siue-lana. Mandżurja, dokąd wojny domowe nie sięgały nigdy, stała się terenem walk, krótkotrwałych, ale cięższych, niż długoletnie boje pomiędzy chińskimi marszałkami.

Nie mając szczęścia w wojnie zewnętrznej, Dżan-Siue-lan nie upadł na duchu; przeciwnie, coraz szybciej przygotowywał się do wystąpienia na terenie Chin właściwych. Zbierał siły, zanim wybije jego godzina. Dookoła niego poczęły się skupiać liczne oddziały generałów, którzy przed laty walczyli pod rozkazami jego ojca; przy armjach jego tworzyły się pułki rosyjskie, złożone z białogwardzistów — pułki, co zdobyły dla Dżan-Dzo-lina władzę dyktatorską.

Czekał, wiedząc, że rychło, a przyjdzie jego kolej. Rozumiał, że w tem morzu spienionem, ja-

kiem są Chiny, łatwo utoną wszystkie ideologje i utopistyczne teorje; że tylko twarda, celna ręka, która potrafi sennemu olbrzymowi zarzucić wędzidła i pokierować nim, jak zechce — władać będzie największem z państw, będzie rządziła najliczniejszym narodem. Wiedział, że bogata, z fantastyczną wprost szybkością bogacąca się i rozwijająca Północ — lada chwila do nowej stanie walki z Południem.

Z niezmąconym spokojem patrzał, jak ci, którzy pokonali jego ojca, rzucili się na siebie i trwonili swe siły. Gdy zaś walka doszła do punktu szczytowego, gdy szale się zrównały na moment jeden — poznał, że godzina jego wybiła.

Prowadzona przez starych przyjaciół i stronników zamordowanego Tajuńszuaja, pod naczelną wodzą jego syna, poprzedzana lotnemi oddziałami strasznych dla Chińczyków „kondotjerów" rosyjskich—armja mandżurska ruszyła na Południe.

W parę miesięcy potem stanęła w Pekinie, skąd przed kilku laty uciekła w popłochu.

Na specjalnym zjeździe spotkali się ze sobą Dżan-Kaj-Szek i Dżan-Siue-Lan. Przyrzekli, iż będą stali na straży pokoju.

Trudno dziś prorokować o przyszłości. Ale nie trudno zgadnąć, iż nie zapomniał młody marszałek mandżurski o tem, że przed paru laty w Szanghaju i Nankinie stały wojska jego ojca, a nad miastami temi powiewały pięciobarwne sztandary.

Lwów TEODOR PARNICKI

PROGRAM OŚWIATOWY — A FAKTY

JEDEN ze swoich odczytów politycznych poświęcił p. minister Czerwiński rozważeniu kwestji, dlaczego żaden z przedmajowych ministrów oświaty nie stworzył „celowo pomyślanego i konsekwentnie zbudowanego systemu wychowania państwowego" [1]). Odpowiedź znalazł na to bardzo łatwą: bo każdemu z nich przeszkadzał parlament, który nie miał żadnych określonych ideałów wychowawczych („Wiele jestem gotów dać temu, kto mi powie, jaki jest ideał wychowawczy polskich ciał ustawodawczych").

Pomijam, że twierdzenie o braku systemu wychowania państwowego w Polsce przedmajowej jest celowem — nieporozumieniem. Pomijam naiwną pretensję do sejmu o ideał wychowawczy. Ale przyznaję, że od czasu owej mowy wileńskiej p. Czerwińskiego zacząłem pilniej, niż dotąd, szukać ideału wychowawczego rządów sanacyjnych i coraz częściej zastanawiać się, co właściwie pozytywnego dla sprawy wychowania publicznego w Polsce zdziałały rządy sanacyjne. Obecnie także „wiele jestem gotów dać temu, kto mi powie, jaki jest ideał wychowawczy sanacyjnego ministra oświaty". Naprawdę bowiem warto czasem przypomnieć sobie zygzaki, któremi posuwała się „radosna twórczość" w dziedzinie oświaty w dobie pomajowej.

Zaczęło się to od walki z nacjonalizmem, od rozrzutnych ustępstw w sprawach szkolnictwa ruskiego i od propagandy federacyjnej p. Sujkowskiego.

[1]) Mowa wileńska z 28 listopada 1929.

Propaganda ta wprawdzie odbywa się jeszcze dotąd, ale ma postać coraz oryginalniejszą, skoro rząd, wskutek wytworzonych przez nią warunków, zmuszony został do zamknięcia kilkudziesięciu szkół litewskich w Wileńszczyźnie, do zwinięcia kilku ruskich gimnazjów w Małopolsce wschodniej oraz do znanej — pacyfikacji.

Potem przyszła za ministrów Bartla i Dobruckiego—epoka wielkiej reformy szkolnej. Po wielu, wielu posiedzeniach w zamkniętem kółku ministerjalnem, ukuto projekt zasadniczej ustawy o szkole jednolitej i puszczono go w świat w r. 1928 z podpisem ministra Dubruckiego, w charakterze półoficjalnym — do dyskusji publicznej. Projekt spotkał się z gwałtownym protestem uniwersytetów, wywołał burzę w łonie B. B. i ostatecznie — nie został wcale wniesiony do sejmu.

Ale podjęto inną znów próbę: małej reformy szkolnej. Podjął ją z wielkim tupetem i z iście amerykańską szybkością minister Świtalski. Cel: odciążenie młodzieży oraz oszczędności budżetowe. Zmniejszono mianowicie liczbę godzin szkolnych, a zwiększono liczbę minut w godzinie. Reformę tę zrobiono „na kolanie". Rezultat w praktyce: jeszcze większe przeciążenie młodzieży (dziwnym sposobem także jeszcze większe obciążenie budżetu), a prócz tego olbrzymie rozgoryczenie wśród nauczycielstwa. Roforma p. Świtalskiego nabrała cech humorystycznych.

Potem minister Czerwiński postanowił wprowadzić szkołę jednolitą *via facti*. Zarządził więc sporządzenie nowych programów szkolnych, wspólnych dla wyższych klas szkół powszechnych i niższych klas gimnazjów. Programy robiono znów na gwałt, jakby w przeczuciu niedalekiego schyłku rządów „sanacji" w szkolnictwie. Wyszły wreszcie z druku w ubiegłym roku jako projekt do dyskusji, napotkały całe mnóstwo zarzutów i jakoby są w trakcie gruntownego przeredagowywania. Ale oto w tych dniach właśnie znienacka przeniesiono w stan nieczynny redaktora programów, p. Radwana i oczywiście cała robota pójdzie znowu w odwłokę.

W rezultacie tedy wielka praca ministerstwa oświaty w dziedzinie ustaw zasadniczych ma w sobie coś z pracy Penelopy, która w nocy pruła suknie w dzień uszyte. Cech tych nabrała ta praca, mimo że tym razem izby ustawodawcze chyba bardzo niewiele rządowi przeszkadzały!

Niezmordowanie natomiast odbywa się w naszej oświacie od czasu „wypadków" majowych inna praca, niezwykle doniosła w skutkach, choć o wiele łatwiejsza: praca ustawicznej wymiany ludzi. To ciągłe usuwanie ludzi „przedmajowych", bez względu na ich wartość dla szkolnictwa, a zastępowanie ich doraźnie zaimprowizowanymi sanatorami stało się już ciężką chorobą naszego szkolnictwa i przyczyną ogólnej demoralizacji.

Ostatnio znów padło ofiarą tego systemu szereg wybitnych urzędników ministerstwa W. R. i O. P.; równocześnie ustąpiło dwóch kuratorów okręgów szkolnych oraz kilku wyższych urzędników władz szkolnych II instancji. Te przesunięcia personalne mają być surogatem jakiegoś programu pracy, którego brak coraz dotkliwiej daje się we znaki w szkolnictwie. Komentarz do tych przesunięć personalnych, który usłyszeliśmy w sejmie z ust p. posłanki Jaworskiej, był nawet w naszych stosunkach czemś istotnie zdumiewającem:

„Wydaleni pracownicy byli istotnie dzielni, ale właśnie byli wśród nich tacy, którzy także oddzielali kwestję państwa od kwestji rządu, albo pozwalali na to, że inni ludzie w administracji czy w szkole ten podział czynili. Byli to też tacy, którzy bardziej zważali na duszę nauczyciela, niż na duszę młodzieży, wreszcie tacy, którzy podobnie jak p. Czapiński uważali, że linja marsz. Piłsudskiego, to linja partyjna".

W tych paru zdaniach posłanki Jaworskiej, przewodniczącej Komisji oświatowej Sejmu z ramienia klubu BB., modny obecnie program wychowania „państwowego" ujawnił się z przerażającą wyrazistością. Bez żadnych osłonek głosi się tu już, że państwo — to rząd każdorazowy. Każdy urzędnik administracji szkolnej, który nie karze nauczyciela za to, że jak przystało na Europejczyka — oddziela rząd od państwa, każdy taki urzędnik zasługuje na usunięcie ze szkolnictwa. Okrągły frazes o ludziach, którzy bardziej zważali na duszę nauczyciela, niż na duszę młodzieży, nie co innego znaczy chyba, jak tylko, że prawy sanator, idąc na łowy dusz młodzieży, ma prawo po drodze deptać i łamać duszę nauczyciela, co dziś zresztą codziennie widzimy w szkolnictwie.

Oto więc ostatnia faza ideologji sanacyjnej. Państwo, to my, szkoła—to narzędzie walki o duszę młodzieży, t.j. o zapewnienie „nam" dalszych rządów na przyszłość, nauczyciel nawet wbrew przekonaniu wykonywać ma ten obłędny program.

Trudno zaiste o większe nieporozumienie, ale trudno też i o większy cynizm w ujmowaniu spraw wychowania narodu.

OCCIDENTALIS

NAUKA I LITERATURA

POKŁOSIE MISTRALA

KU UCZCZENIU setnej rocznicy urodzin wielkiego Feibra pojawiły się pomiędzy innemi dwie miłe bardzo książeczki, które się wzajemnie dopełniają. Jedna tryska werwą, humorem, z poza których stary Rabelais chwilami się uśmiecha. Druga płonie mistycznym ogniem religijnego zachwytu. Obie te książeczki łączy jednak wspólne uczucie: ukochanie kraju rodzinnego, słonecznej Prowancji, a ukochanie tak silne, że poeta nie waha się imienia ojczyzny swej postawić obok imienia Bożego w nagrobku, wypisanym na grobowcu, który sobie za życia przygotował: *Non nobis, Domine, sed Nomini Tuo et Provinciae nostrae da gloriam.*

Pierwsze z omawianych dzieł Mistrala, to „*Derniére Prose*" *d'almanach*, tłumaczone z prowansalskiego na francuski przez Piotra Devoluy a wydane w Paryżu u Grasseta. Siedem snopków składa się na ten nieduży zbiorek. Każdy z nich zawiera bajki, dykteryjki, szkice obyczajowe, podania dziejowe, a nawet parę poważniejszych studjów historycznych. Są to po większej części rzeczy krótkie, zwięzłe, a jednak przebogate w rysy charakterystyczne, które autor chwyta bezpośrednio, z tą ścisłością obserwacji, jaka go cechuje. Cała bujność temperamentu południowców, znana gaskońska blaga, humor niewyczerpany, ironja wobec głupoty bliźniego, tryskają poprostu z kart książeczki.

Zaraz na wstępie spotykamy się z przepyszną postacią półfiluta, półfilozofa, rodem z Draguignan, który zna się dobrze z więzieniem, a na zapytanie, czy był tam, odpowiada ze spokojem — Ano byłem — a zaraz potem dodaje: — A nie wiesz-że ty czasem, ośla głowo, że i Pan Jezus siedział w więzieniu?

Martigues to, zdaje się, prowansalska Abdera. Ale Genesi z Martigues ma się za mądrzejszego od swych współobywateli i chce ich nabrać, bowiem go nudzą, ile razy wraca z Marsylji, zapytaniami: — Co też tam słychać? — Więc razu pewnego opowiada im, że do marsylskiego portu przypłynęła ryba taka wielka, iż ogon jej sięga aż do Château d' If. Martegalczycy, przejęci tą wieścią, wybierają się tłumnie do Marsylji, by cudo zobaczyć. Idą mężowie w sile wieku, kobiety, starcy i dzieci. Genesi śmieje się w duchu. Widząc jednak, że całe Martigues się wyludniło, poczyna wyczuwać pewien niepokój i nakoniec powiedziawszy sobie: — W tem jednak musi coś być! — rusza za innymi. Radcy arlezyjscy zasłużyli na opinję głupców i ludzi nieuczciwych, bo taką o nich znajdujemy opowieść. Oto mistrz Peiret, pierwszy w murarskiem rzemiośle, wystawił w ratuszu piękną, sklepioną salę. Widząc jednak, że mu zarząd miasta nie chce uczciwie zapłacić, umieszcza w środku sali wielką belkę, która wygląda tak, jakby się na niej całe sklepienie wspierało, i sam rusza w świat. Arlezyjczycy medytują długo nad usunięciem tej belki, ale jakże ją ruszyć, kiedy wszystkim się zdaje, że bez niej runie sklepienie. Wreszcie zjawia się żebrak nieznany nikomu, uboga kapuza zakrywa mu oczy. Żąda, by mu naprzód wypłacono nagrodę, która była wyznaczona dla śmiałka, co się odważy podporę domniemaną usunąć. Poczem otrzymawszy pieniądze, jednem kopnięciem odrzuca kawał drzewa zupełnie, jak się okazuje, niepotrzebny. Na zakończenie zaś karmi radnych miasta nauką moralną na temat ich głupoty i nieuczciwości.

A jaki doskonały, rabelesowski a potrosze i rejowski jest ten filut, którego nieuczciwy adwokat poucza, że o ile się nie podpisało kwitu i o ile się nie ma świadków, można długu nie płacić i wierzyciela odesłać do licha, poczem sam żąda honorarjum za radę. — Macie, panie kwit? — pyta klient — Nie! — Macie świadków? — Czyś oszalał! — woła wściekły adwokat. — Nie, jeno wam powiem: Idźcie do licha!

Obok drobiazgów mamy w książce dwa studja obszerniejsze. Jedno daje historyczno-etnograficzny obraz świątecznego obchodu Taraski z Taraskonu. Drugie, poświęcone pamięci królowej Konstancji, mówi o antagonizmie, jaki istnieje pomiędzy północą a południem Francji, pomiędzy Prowansalami a tymi „*Franchimands*", którzy od najdawniejszych czasów mówili z lekceważeniem o mieszkańcach słonecznych wybrzeży Morza Śródziemnego. Ze studjum tego tryska głęboki, mocny patrjotyzm prowincjonalny, ukochanie Prowancji z jej bujnością umysłu z jej oryginalnością rasową.

Druga książeczka to „Snop Mistrala na ołtarzu Marji" („*La gerbe de Mistral a l'autel de Marie*". *Poëmes et cantiques oubliés, commentés par le R. P. David. Librairie Bloud et Gay).*

We wstępie do tego zbiorku mamy trochę szczegółów biograficznych. Dowiadujemy się i nich, że daty świąt Matki Bożej dziwnie się łączyły z ważnemi datami w życiu poety. Urodził się w święto Jej Narodzenia. Arcydzieło swe, „*Mireille*", ogłosił w święto Matki Boskiej Gromnicznej, a zmarł w dzień Zwiastowania. Przez całe życie był piewcą Najświętszej Panny i kult ten podzielał ze swem otoczeniem. Cała bowiem Prowancja czci Rodzicielkę Bożą ze szczególnem nabożeństwem. Mnóstwo kapliczek wznosi się tam po siołach i wzgórzach i wiele miast, miasteczek, wiosek ma swe cudowne obrazy, które im są strażą i ratunkiem w nieszczęściu.

W arcydziele Mistrala, w „*Mireille*", a oprócz tego w poematach „*Calendal*" i „*Nerte*", choć do poezji świeckiej należą, mamy bardzo piękne ustępy, Matce Boskiej poświęcone. Ale poza temi utworami pisywał poeta prowensalski wiersze ściśle religijne, jak „*Les Iles d'or*" i „*Les Olivades*". „Olivady" miały początkowo stanowić wstęp do antologji, którą ksiądz Sire chciał uczcić dwudziestopięcioletnią rocznicę ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu. W antologji tej zamierzał on zebrać cały szereg poematów, które w różnych krajach ku czci tego dogmatu powstały. Nie została ona wydana, a „Oliwady" wyszły, jako zbiorek osobny.

Cechę poezji religijnej Mistrala, której przykłady podaje ojciec Dawid, jest przedewszystkiem niesłychana prostota i bezpośredniość wyrazu. Literatury tam niema. Poeta mówi tak, jak człowiek wierzący głęboko, bez zastrzeżeń,

żżyty z tą wiarą, kochający po dziecinnemu postać Marji Dziewicy, wzrosły w atmosferze Jej miłosiernych cudów. Tam nawet, gdzie liryka jego wychodzi poza życie codzienne, sięgając w dziedzinę najtajniejszych misteryj, prostota wyżej podkreślona nie opuszcza Mistrala. A poza tem jest on niesłychanie zwięzły. Pisze bez tego, co Francuzi nazywają klinami, „*Les chevilles*". Każde słowo jest u niego konieczne, mocno z treścią związane. Tłumacz więc cofa się poprostu, zrozpaczony trudnościami przekładu.

A jednak pokusiłam się o przełożenie jednego drobiazgu. Jest to krótki urywek z poematu „*Calendal*". Mówi on o Matce Bożej cudownej z nadmorskiego miasta La Ciotat. Starałam się uchwycić bardzo piękną, choć monotonną harmonję tego wiersza. Dzwoni ona, jak powracająca morska fala.

Dziewczęta z La Ciotat szły,
Porankiem, a było ich trzy,
Nieść modły Dziewicy w koronie...
Lecz Pani w ołtarzu nie było...
Gdzie morze wał siny piętrzyło,
Szła w dali Dziewica w koronie...
Fal bryzgi wilżyły Jej skronie.

— — — — — — — — — — — —

— Skąd idziesz, Dziewico w koronie?
Przecz włosy masz mokre od fali?...
— Widziałam ja okręt, co tonie,
Majtkowie o pomoc wołali,
Bym morzu wydarła ich złemu.
...sam sternik mej nie chciał przyczyny...
Więc wszystkich zbawiłam z głębiny!
...on bluźnił synowi mojemu...

Kraków MARJA DYNOWSKA

RUCH WYDAWNICZY

Nakładem Ordynacji Krasińskich wydano katolog rękopisów, przechowywanych w Bibljotece Ordynacji, dotyczących szkolnictwa polskiego i polskiej kultury narodowej w minionych wiekach. Katalog ten, stanowiący tom o 316 str., otwiera przedmowa Edwarda hr. Krasińskiego na temat poprzednich wydawnictw Bibljoteki i tego nowego tomu. Dalej następuje przedmowa p. Marji Hornowskiej o dokonanych i w części ogłoszonych drukiem studjach nad zbiorami rękopisów Muzeum ks. Czartoryskich i Bibljoteki Popielów w Krakowie, Bibljoteki Ordynacji Zamojskiej i Bibljoteki Ordynacji Krasińskich.

Materjał podzielono na grupy, z oceną indywidualnego charakteru każdego rękopisu, treściwie, jasno i przejrzyście.

Trud niemały, bo rękopisów jest skatalogowanych tysiące. Poszczególne grupy obejmują i źródła i wydatniejsze przyczynki do historji szkół w całej Polsce w końcu XVIII i XIX wieku, podręczniki i wykłady szkolne, rozprawy i traktaty. Czas powstania niektórych rękopisów, sto i dwieście lat temu, wydaje się często nieprawdopodobny, tak świeżą jest ich aktualność. Naprzykład rozprawy i korespondencje na temat utrzymania szkoły dramatycznej, o obowiązkach religijnych młodzieży szkolnej, o funduszach szkół i bibljotek, o wizytacjach komisarzy edukacyjnych, o klubie piśmienniczym, o patrjotycznych i dobroczynnych stowarzyszeniach pań polskich i t. d.

Zwięzłe tytuły rękopisów kryją głęboki nurt życia intelektualnego w epokach, które dziś ignorancja czy tendencje demagogiczne przedstawiają jako epoki zacofania i ciemnoty. Tymczasem tak jak Konstytucja 3 maja w wielu kierunkach wyprzedziła spółczesne w obcych państwach ustawodawstwo ustrojowe, tak i troska o wychowanie publiczne miała niemniejsze niż gdzie in ziej, zrozumienie dla wartości, godności i praw człowieka. Takie zaś projekty, jak w połowie XVIII wieku projekt założenia akademji medycznej w Warszawie, czy głosy nauczycieli z zakazanych, zabitych od świata deskami, miejscowości, wykazują powszechność myśli oświatowej w dawnej, królewskiej Polsce. Inną też, szerszą terytorjalnie, była rozpiętość pracy oświatowej na ziemiach, należących do Polski przed rozbiorami. Mówią o tem rękopisy o szkołach w Pruseich, Gdańsku, Elblągu, o akademji Kijowsko-Mohilańskiej w Kijowie, o szkole fundacji Radziwiłła w Kiejdanach. Nieprzebrane bogactwo dla studjów naukowych stanowią papiery urzędowe ministerstwa oświecenia publicznego, listy profesorów uniwersytetu warszawskiego, wileńskiego i liceum Krzemienieckiego, pisma Towarzystwa Przyjaciół Nauk, rozkłady nauk szkół elementarnych i szkoły rzemieślniczej, korespondencje różnych osobistości w sprawach oświatowych, i w tym przedmiocie pamiętniki, listy, ody, panegiryki, mowy, djalogi, utwory wierszem. Także akta w sprawie darów na cele naukowe, w sprawie zbiorów i archiwów prywatnych, klasztornych i publicznych.

Wśród katalogów bibljotek są takie o niewygasłym do dziś blasku klejnoty, jak cytowany pod Nr. 3341 „Katalog bibljoteki gdańskiego zbieracza z końca XVIII wieku", albo w związku z kwestją utraty Gdańska cytowane pod Nr. 3472 „Akty i dokumenty króla Jana III odnoszące się do Gdańska". (A. W.)

*

Jeszcze od czasów Orzechowskiego i Kochanowskiego mieliśmy zawsze uczonych i poetów, znających wybornie język grecki, należał do nich i Adam Mickiewicz. Jednakże o ile pisanie wierszy łacińskich było u nas modą, która przetrwała i poza czasy Mickiewicza, o tylo poetów polskich, piszących po grecku, na palcach możnaby policzyć. Na czoło ch wybił się Bonawentura Graszyński, niedawno izmarły prof. gimn. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Nietylko w Polsce, ale szeroko poza jej granicami uczyniły go sławnym jego dramaty, pisane na wzór Sofoklesa po grecku, choć treść ich niezawsze wzięta z tekstów czy podań starożytnych. Dzieła te, czytane dziś jeszcze w ojczyźnie Homera, zostały nagrodzone w r 1908 najwyższym orderem królestwa greckiego. Po Graszyńskim została, prócz rzeczy wydanych poprzednio, obfita spuścizna rękopiśmienna; świeżo ogłoszono z niej, ku upamiętnieniu zeszłorocznego zjazdu filologicznego w Poznaniu, dramat w pięciu aktach p. t. „Amalazuntka". Treść tego utworu osnuta jest na czasach najazdu Gotów na Italję; cztery pierwsze akty za tło mają Rawennę. Wartoby dramat ten, mający wiele zalet literackich, wydać w przekładzie polskim, choćby prozaicznym. Nadmienić się godzi, że Graszyński pisywał dużo i po polsku; w młodych latach ogłosił w języku ojczystym powieść „O losach królowej Wandy". (J. B.)

*

Dokładne, dzięki prowadzonym na miejscu studjom, poznanie przyrody morskiej i nadmorskiej, i długie współżycie z Kaszubami dostarczyło Jerzemu Bandrowskiemu materjału do szeregu powieści morskich. Po dyktatyczno-propagandowej, w swoim rodzaju znakomitej powieści dla młodszego pokolenia p. t. „Na polskiej fali" (świeżo ponownie wydanej), po pierwszej polskiej prawdziwej powieści rybackiej p. t. „Zolojka", dał nam obecnie Jerzy Bandrowski nową książkę morską p. t. „Sosenka z wydm" (Poznań 1930. Nakład księg. św. Wojciecha), zawierającą jedenaście opowiadań, z morzem i życiem rybaków związanych. Składające się na ten zbiór opowiadania mają wprawdzie tło realistyczne, jednak zasadnicza ich treść jest przeważnie fantastyczna. Są to po największej części baśnie, nowoczesne baśnie morskie, nieraz o bardzo oryginalnych pomysłach, jak np. opowieść „O kamieniu — podróżniku", gdzie ciekawi nas nietyle samo ożywienie, animizacja martwego głazu, ile śmiała próba wczucia się w „duszę" wędrownego kamienia.

Głębokie spoufalenie się autora z żywiołem wodnym wyraziło się tutaj w sztuce oddania swoistego języka morza (np. śpiewu fal, mowy ryb, szeptu wodorostów i t. p.). Pełen północnej surowości świat andersenowskiej fantastyki przypomina poetycka baśń („Strąd Dorotki") o wiatrach nadmorskich, dobroczyńcach względnie przyczynie troski rybaków. Inne opowieści, jak np. „O kocie morskim" lub o „Zemście zelintów" (od *Seehunde* — foki) przynoszą element pogody i humoru z ciekawem folklorystycznem zabarwieniem. Na ogół trzeba przyznać, że próba stworzenia nowoczesnych baśni morskich, topograficznie związanych z morzem i wybrzeżem polskiem, powiodła się Bandrowskiemu, chociaż niektóre opowiadania rażą, szczególnie starszego czytelnika, zbyt luźnem połączeniem żywiołu fantastycznego z realistycznym, przeładowaniem dyktatyzmem i moralizatorstwem. To też nadają się raczej na lekturę dla młodzieży. (R. B.)

*

„Opowieścią morską" nazwał Stefan Balicki swe opowiadanie p. t. „Dziewiąta fala", drukowane najpierw w poznańskiej „Tęczy", a obecnie opublikowane w książkowem wydaniu (Poznań 1930 Nakład księg. św. Wojciecha). Określenie to nie jest jednak zupełnie ścisłe. Bowiem morze nie odgrywa tu ważniejszej, aktywnej roli. Jest tylko tłem, i to ukazanem fragmentycznie, w stosunkowo dość dalekiej perspektywie. Z właściwą akcję powieści wiąże się tylko pośrednio. Oto w czasie srogiego zimowego stormu rozbija się u brzegów polskich statek pasażerski, a zdradliwa

„dziewiąta fala“ wyrzuca na strąd rozbitka, cudzoziemskiego marynarza, którego obecność plącze się tragicznie z losami mieszkańców latarni morskiej (zdaje się koło Rozewia): starego Kublika i jego córki Anny. Głównym zrębem powieści jest problem psychologiczny, rozprowadzony w akcji o silnem dramatycznem napięciu, szczególnie w części II („W latarni“). Część I. („We wsi“), obrazująca codzienne życie nadmorskiej wsi rybackiej, ma charakter więcej obyczajowo-rodzajowy. Mimo niezaprzeczonej znajomości nadmorskiego terenu i zamieszkującej go ludności, autor nie wyzyskuje w całej pełni materjału lokalnego, ujmując rzecz raczej z ogólno-ludzkiego punktu widzenia. (R. B.)

*

Pośredni, przez swoje tło, związek z morzem ma nowa powieść Antoniego Marczyńskiego p. t. „Straszna noc“ (Warsz. 1930. „Rój“), przedstawiająca dramatyczne koleje życia córki bogatego przemysłowca z Warszawy, która jako małe dziecko w czasie rozbicia statku traci matkę i dostaje się do rodziny rybackiej na wybrzeżu polskiem, gdzie ją po latach wreszcie ojciec odnajduje. Związanie jej losów z osobą dzielnego marynarza polskiego nastręcza autorowi sposobność do propagandy znaczenia dostępu do morza oraz posiadania licznej floty wojennej i handlowej. (R. B.)

*

Zaniewickiego „niepowieść“ p. t. „*Oberschlesien*“ ma znaczenie przedewszystkiem regjonalne. Obejmuje ona ważniejsze epizody walk powstańczych na Górnym Śląsku, na odcinku grupy północnej Lubliniec — Wachowa. Do grupy tej przedarło się paru kadetów z podchorążówki lwowskiej. Młodzi, pełni animuszu i ducha bohaterskiego, kadeci nawiązują szybko kontakt z powstańcami, wnet zdobywają sobie ich zaufanie i sympatję. Walczą dzielnie i ofiarnie ramię przy ramieniu z „pieronami“. Kipi z nich humor i radość życia, mimo że nieustannie grozi im śmierć. Powieść oparta ściśle na prawdziwych zdarzeniach (śmierć Czekalińskiego), tchnie świeżością, radością, ciepłem i werwą młodzieńczą.

Autorowi zrobiono słuszny zarzut, że jest nieścisły, nawet przez niepoprawny w używaniu djalektu górnośląskiego. Wiele poważniejszy jest słuszny zarzut, że cały efekt tej miłej zresztą książki, zepsuł niepotrzebnym zupełnie epilogiem. Wywlekanie i egzagerowanie pewnych bolesnych zajść z powstańcami w Inowrocławiu i Jarocinie było zbyteczne, a z pewnych względów nawet niedopuszczalne. Powieść Z., napisana z talentem, jest ciekawym przyczynkiem do epopei górnośląskiej. W następnem jednak wydaniu koniecznie należy opuścić epilog. Powieść na tem tylko zyska. (A J.)

*

Pani B. Żukotyńska podaje w ostatnim numerze „Neofilologa“ kilka ciekawych szczegółów o „przekładach w twórczości polskiej“ w r. 1929. Stwierdziwszy, że Polska zajmuje jedno z naczelnych miejsc co do ilości tłumaczeń, podaje następujące ciekawe cyfry co do produkcji literackiej w Polsce w r. 1929, pozycyj lit. ponad 3 arkusze druku było 1014, z tego oryg. pol. 602. Najwięcej tłumaczeń jest oczywiście z zakresu beletrystyki. Autorka artykułu notuje przy tej sposobności interesujące zjawisko z francuskiego przetłumaczono prawie o połowę mniej niż z angielskiego, z ang. 142 — z franc. 87 w przeciwieństwie do innych lat. Z zakresu krytyki przetłumaczono jedynie dzieło Chestertona o Dickensie. Z poezji: 5 poz. niem. 3 różne, z zakresu literatury teatralnej poz. 9. W przekładach z dziedziny beletrystyki przeważają utwory lekkie, kryminalne. Prym wodzi tu niezaprzeczenie Wallace i Leblanc. Procent wielkich pisarzy współczesnych jest bardzo niewielki.

W końcowych uwagach pisze p. Ż. „Przy pomocy trochę ryzykownego skrótu możnaby na podstawie tłumaczeń dojść do wniosku, że w powieści angielskiej szukamy wyżycia się sportowego i awanturniczego, w francuskiej dreszczów erotycznych, w rosyjskiej wyzbycia się racjonalnej dyscypliny i zatraty własnej osobowości, w niemieckiej przeżycia pewnych zagadnień i problemów życiowych“. Skrót ten jest rzeczywiście trochę ryzykowny, choć nie pozbawiony pewnej racji. Problem tłumaczeń zasługuje na gruntowne zajęcie się nim. (A. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Taka dziś jest powódź literatury pacyfistycznej, że żywszy prąd idzie od książki, mówiący o wojnie i o stosunku do niej człowieka w sposób poważny i prawdziwy. Taką książką są „*Maximes sur la guerre*“ p. Réné Quinton (Benard Grasset). Jest to rzeczywiście zbiór maksym, rozwijających myśl zasadniczą, zawartą w zdaniu: „Ludzie mogą marzyć o tem, że nie lubią wojny. Przyroda lubi walkę i śmierć“. Człowiek nie żyje dla siebie — sądzi autor — lecz dla gatunku, dlatego przeznaczeniem najwyższem mężczyzny jest walczyć, a kobiety — rodzić. A oto kilka maksym z książki Quinton'a: „Filozofowie się mylą, gdy sądzą, że człowiek się rodzi, by być szczęśliwy. Rodzi się dla innych na to, by być złożony w ofierze“. „Ludzie są piękni tylko w miłości i na wojnie, bo oddanie się i zaparcie się siebie są dwiema cnotami miłości i wojny, a także podstawami piękności moralnej“. „Pacyfizm jest zamachem na honor. Człowiek ma tylko jedną cechę wielkości, a jest nią umiejętność umierania. Pacyfizm mu jej odmawia“. Możnaby cytować bez końca. Lepiej zalecić przeczytanie książki. (S. K.)

*

Valentino Piccoli, pisarz i krytyk włoski napisał książkę zatytułowaną „*Vita della Maddalena*“ (Życie Magdaleny), różniącą się bardzo od utworów innych autorów, którzy obierali ten temat. Picolli okazał się tu prawdziwym artystą i myślicielem. Nie lubuje się, jak inni, w drastyczności opisów życia zmysłowego, lecz ukazuje rozwój duchowy wielkiej pokutnicy. Książka przeznaczona szczególniej dla szukających pociechy, nic też dziwnego, że autor zdecydował się ją poświęcić narodowi rosyjskiemu, wykolejonemu i torturowanemu przez zbrodniczych władców. (F. B.)

*

Krytyka włoska przyjęła z uznaniem powieść „*La Vella*“, którą napisał Bruno Cicognani. Głęboka prawda przebija z każdej strony tego utworu. Życie jest tu wyobrażone przez autora, jako skutek harmonji dwuch praw najwyższych: sprawiedliwości i miłości. (F. B.)

W wydawnictwie Renacimiento w Madrycie ukazała się książka p. t. „*Eva curiosa*“ (Ciekawa Ewa), której autorem jest Gregorio Martinez Sierra, wybitny literat i komedjopisarz. Utwór ten, o bardzo subtelnej psychologji, przedstawia charaktery kobiet różnego wieku i stanowiska, od małego dziecka aż do zgrzybiałej staruszki, od matki do kochanki. Autor po mistrzowsku ujmuje tu istotę kobiecości. (F. B.)

NA MARGINESIE

W czasie moralnego kataklizmu, który spadł na Polskę, na uwagę zasługuje subtelność ludzi pewnego typu, którzy nie mogą nie reagować na zło, ale z drugiej strony boją się, żeby to nie miało charakteru politycznego. Broń Boże! Więc usiłują krajać włos wzdłuż, a tu ani rusz; bo właśnie tak się zdarzyło, że sprawcą czynów kataklizmu jest polityka, tak związana tutaj z etyką, jak forma z treścią. Nieda się więc wyjść z tego interesu bez zmazy politycznej. *Tamen laudanda est voluntas* — i oto właśnie chodzi, aby sprawcy mogli pochwalić.

*

Hr. Wielopolska (?) Jehanna, wierna hasłu pogłębiania rewolucji, domaga się w jakimś organie brukowym stosowania chłosty publicznej do tych, którzy w sprawie brzeskiej widzą hańbę narodu. Poseł Kleszczyński żałuje, że w Brześciu „za mało bito po mordzie“. P. p. Sieroszewski, Kaden-Bandrowski, Pasbalski i in. uważają, że bito w sam raz tyle, ile trzeba. W jednej tylko Polsce tego rodzaju zboczenia psychiczne ujawniane są bez wstydu u góry społeczeństwa. W Berlinie za hańbę poczytują, że od pewnego czasu na jednej z ulic śródmieścia afiszują się po nocy kobiety, wyróżniane specjalnem obuwiem. Są to „sadystki“. Ale dzieje się to pod społeczeństwem, w piekle upadku.

*

Podobno. . w najbliższej przyszłości powstać ma „Stowarzyszenie kultury politycznej“, mające na celu podniesienie poziomu obyczajowego, oraz nadanie bardzej szlachetnych, kulturalnych i zgodnych z etyką katolicką form walce pomiędzy poszczególnemi obozami politycznemi. Jako członkowie założyciele wymieniani są jakoby: ks. Janusz Radziwiłł, kapitan Kaciukiewicz, ks. wiceminister Żongołłowicz, profesor J. K. Kochanowski, pułkownik Kostek-Biernacki.

*

Prasa sanacyjna rozpisuje się o talencie panegirycznym Sieroszewskiego, który zdołał napisać biografję czyjąś tylko z 700 liter. Krótszą biografję Sieroszewski sam po sobie zostawi, bo go wszyscy mają „za trzy litery“.

*

Pan Boy, głośny na rynku księgarskim (więcej jednak wśród... kucharek, debatujących na pewne niebezpieczne tematy) rewolucjonista społeczno etyczny, wydał w ostatnich czasach nakładem „Roju“ parę książek. Zrobiło to przewrót w znanem przysłowiu, które teraz brzmi: „Baj Boy'u, będziesz w Roju“.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.